BEZPŁATNY

NUMER OKAZOWY

ROK I. NR. 1

WARSZAWA
SOBOTA 7
PAŹDZIERNIK
1933 ROK

# PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ADAM SKWARCZYŃSKI

## ODBUDOWANIE PAŃSTWA A LITERATURA

Ktoś opowiadał, że kiedy Piotr Baryka na czele pochodu demonstrujących bezrobotnych podchodził pod Belweder, w pierwszym szeregu ulanów, szablami zagradzających drogę, zobaczył starszego brata swojego w duchu: Krzysztofa Cedrę.

Ale niema ani trochę prawdy w tej opowieści. Przyśniła się ona komuś, kto zbyt poważnie usiłował brać współczesną literaturę polską. Żeromski twórczością swą niczem nie upoważnił do upatrywania w jego postaciach tego rodzaju przeciwieństwa. Do tak poważnego rozłamania pomiędzy postaciami tworzonemi przez dzisiejszą literaturę dojść nie mogło. Cedro dla dzisiejszego piszącego pokolenia jako postać literacka dawno umarł, a Baryka skabotyniał do reszty w kawiarniach, gdzie ekscytuje [illegible] nerwy burżujów opowiadaniami na temat „poezji proletarjackiej".

W rzeczywistości było zupełnie inaczej. Oto gdy w jakieś kilka lat po wskrzeszeniu Państwa Polskiego owa „dziewka bosa" z parabazy „Wyzwolenia" poszła w rotatną godzinę z kluczami do bram teatru, aby wypuścić Konrada „na lot"... zamiast Konrada znalazła tam pana Wlasta z satelitami, produkujących swe pieśni przy akompanjamencie orkiestry Golda i Petersburskiego.

W krytyce literackiej współczesnej nazywa się to mniej więcej tak, że skończyła się wreszcie ta „Izawa", anormalna epoka, kiedy literatura nasza kochała, cierpiała i myślała za cały naród — i chwała Bogu może się ona dziś zająć „właściwemi swojemi zadaniami".

Jeden z najwybitniejszych krytyków polskich po rewolucji 1905 roku mówił, że gdy przez krótki czas byliśmy jakby u progu niepodległości, wówczas literatura nasza stawała wobec kryzysu. Czem dalej żyć gdy od przeszło stu lat cała twórczość literacka i artystyczna owijała się około idei niepodległości i walk? Aż dziw, że człowiek, który głęboko znał i rozumiał poezję polską „romantyczną" i Norwida i Wyspiańskiego pozwolił sobie na myśl tak płytką. I dziw jeszcze większy że... myśl ta się sprawdziła.

Literatura nasza od Barda Polskiego napisanego w r. 1795 — po Wyspiańskiego, Żeromskiego i Sieroszewskiego wierzyła i wątpiła, płonęła entuzjazmem i rozpaczała, cierpiała i radowała się, nienawidziła i kochała, obwoływała rewolucje — i zagłębiała się w codzienną szarą pracę, analizowała myślą — i objawiała rewelatorskie widzenia, roztaczała tęczę piękna— i otwierała dno ohydy, przemierzała świat od polskich pól i bruków — po rzymskie forum, czy sybirskie lasy. Literatura epoki rozbiorowej rozbrzmiewała całą gamą duszy ludzkiej i mieniła się kształtami wszelkiej rzeczywistości, jaką tylko dosięgnąć zdołała okiem, ręką i wolą. W przodowniczym wysiłku i porywach budując samowiedzę swojego narodu, walczyła o niepodległość, bo była to najżarliwsza potrzeba czasu, — ale przełamując szranki, jakie historja epoce jej postawiła sięgała ponad niepodległość i jakże często rozwijała swą twórczość tak, jakby Polak już miał swoje Państwo i swój warsztat dziejowy. Pasując się ze szrankami tej „sceny", na jakiej sztuka stoi, ofiarę robiła z samej siebie, porywając sztandar legjonu, lub spędzając „poezję" precz ze sceny, by mogło na nią wreszcie wejść życie i dzieje.

Więc niema żadnego powodu, dla którego by literatura wyrzekać się miała aspiracyj awangardy dążeń narodowych. Dla którego wyrzekać się ich byłoby jej wolno!

A jednak owo przewidywanie z roku 1905 sprawdziło się — choć tak zdawało się bezpodstawne. Konrad uleciał ze sceny; wcielił się w żołnierza, by w polu w rozkazach dziennych przemawiać słowami Słowackiego.

Literatura zajęła się „swojemi sprawami"...

Jakże łatwo zrzucić z siebie myśl o tych sprawach i mówić o epoce ubiegłej, epoce „romantycznej". Prawdą jednak są słowa Brzozowskiego, że twórczość poetów naszych, najniesłuszniej zwanych romantycznymi, ma dla nas i dla całej kultury wartość Psalmisty, tragików greckich, Danta czy Szekspira. A dla Polski jest ona wykwitem jedynej postaci samowiedzy kulturalnej narodu, jaką zdołaliśmy wypracować w czasach nowożytnych. I chociaż punktem jej wyjścia było tragiczne załamanie: upadek Państwa, to jednak bez niej bylibyśmy w całych dziejach naszych kulturalnych „pawiem i papugą" narodów — jak dziś w dziedzinie twórczości literackiej stajemy się coraz bardziej. Ta postać wiary i religji narodowej może być dla nas dziś niewystarczającą, może być nienawistną nawet, — ale dla jej przezwyciężenia nie dość wziąć środek nasenny, w śnie tym zapomnieć wszystko i zbudziwszy się powiedzieć: co było przeminęło, — zaczynam wszystko od początku. Człowiek, a tembardziej naród jest zawsze dziedzicem, a lepiej być dziedzicem świadomym. Przezwyciężenie osiągniętej i rozwiniętej wysiłkiem kilku pokoleń samowiedzy i wiary, osiągnąć można tylko przez przeparcie jej przez duszę swoją i przez ciało rzeczywistości w której działamy. Inaczej będziemy dalej, tak jak jesteśmy dzisiaj, bezwolną igraszką upiorów tej nieprzezwyciężonej samowiedzy, zbanalizowanej i sfałszowanej — lub igraszką obcych, w obcej atmosferze stworzonych treści kulturalnych. Któż patrząc na dzisiejsze objawy myśli „narodowej" i myśli „postępowej", na codzienne chwytanie najnowszych „izmów" rosyjskich, włoskich, niemieckich czy francuskich — nie przyzna temu racji?

Przezwyciężyć „romantyczną" postać naszej samowiedzy kulturalnej! O to właśnie chodzi w dzisiejszej epoce odrodzonego Państwa, odrodzonej władzy naszej nad życiem swojem zbiorowem i pochodem dziejowym. O to właśnie chodzi. Nic bardziej bezdusznego, nic bardziej dla dorobku „romantyków" naszych poniżającego jak owe jałowe zachwyty epigonów i „wyznawców", które są u nas teraz tu i ówdzie modne i reklamowane.

Samowiedza nasza zrodzona po r. 1795 rozwijała się bez Państwa. Co więcej, — rozwijała się na wygnaniu. Zatracała kontakt ze sprawami dziejącemi się w kraju i w społeczności. To był jej niezawiniony grzech pierworodny. Twórcy wiedzieli o nim, walczyli z nim, lecz klątwy tej pokonać nie mogli. Ten właśnie grzech pierworodny oderwania od gleby dziś ma być przezwyciężony. Dzisiejsi pisarze tę rzeczywistość, od której tamci byli oderwani, mają w rękach i pod stopami. I to nie ową, zatamowaną w rozwoju lub skrzywioną przez obcy interes, lecz rozwijającą się pod działaniem własnych dobrych czy złych sił. Nie potrafili dotąd z niej skorzystać. Możnaby do nich dosłownie zastosować przestrogi Norwida, który najgłębiej z Polaków rozumiał konieczność owych korzeni i owego zrośnięcia się z rzeczywistością i wyrastania z niej wszelkich postaci samowiedzy i twórczości. Stwarzają sobie co dzień inne fikcyjne środowiska, nie fantazyjne nawet, jak za czasów „Młodej Polski" i nie obrazowane doktrynerstwem i teorją, jak bywa w czasach wyjałowienia talentów, lecz środowiska beztroskiej igraszki i rozgrywki zdziecinniałej. Albo zadawają się łatwym czysto reporterskim stosunkiem do życia, stosunkiem żądnego sensacji widza, a nie odpowiedzialnego współtwórcy.

Więc czas wreszcie, by to, co w Polsce żywe i świadome, zdało sobie sprawę, że odrodzenie wolności narodowej, odbudowanie Państwa nie zostało zauważone przez literaturę polską. Poza kilku osamotnionemi postaciami ogół literatów nie wyciągnął z tego faktu dziejowego żadnych konsekwencyj.

Nowe, rozległe drogi, stojące dziś otworem przed literatem, poetą polskim są puste. Niechże wkracza na nie nowe pokolenie. Znajdzie na nich mnóstwo zadań, mnóstwo cierpienia i trudu, radości i zwycięskich tryumfów.

## TREŚĆ

WILAM HORZYCA

# SPÓJRZMY NIEWOLI W TWARZ

Do wielu poglądów, które należałoby poddać bezwzględnej i szczerej rewizji, należą również nasze popularne poglądy na okres niewoli. Jest to okres, który dziś bezapelacyjnie uważa się za „smutnoje wremja“ polskiej historji, a jeśli znajduje się jakieś światła w mrocznej otchłani tej wielkiej narodowej nocy, to tylko dla kontrastu, by tembardziej utwierdzić się w mniemaniu, iż wszystko było w niej śmiercią i zatraceniem. W myśl tych poglądów Polska w okresie niewoli, to jedno zamarłe cmentarzysko, a nawet owe światła, to nie światła prawdziwe, lecz tylko — i tu narodowa demokracja jest konsekwentna — ogniki błędne i zwodnicze, pełgające na grobach, będących jedyną rzeczywistością. I to mniemanie jest przyczyną, że dziś niemal każda duszyczka, jeszcze od piersi nieodłączona, uważa się za dojrzałą i bardziej świadomą spraw świata od tamtych, których — jak się to mówi — „deprawowała“, „zniekształcała“ niewola, a to pochlebne o sobie wyobrażenie opiera ona głównie na tem, że jest „wolną“ t. zn. żyje w niepodległej Polsce, który to fakt — mówiąc po małopolsku — „zaistniał“ bez osobistego owejże duszyczki przyczynienia się. Wolność staje się czemś w rodzaju wygodnej kanapy ,i z wysokości tej to niepodległej kanapy nowopolacy patrzą z wyrozumiałem politowaniem na staro-Polaków, co to „zdeprawowani“ niewolą pisali „Dziady“ lub „Wyzwolenie“ i robili powstania... Helotów. Endecja — a nie jest to rzecz przypadkowa — wzięła patent na tę suwerenność wolnych, na to [illegible] Konrada po ramieniu, lecz przyznać niestety trzeba, że i poza endecją mamy sporo przedstawicieli tej ostatniej generacji „niepodległościowców“, co to dlatego bez owej niepodległości żyć nie mogą, że ich ona, cudzym trudem okupiona, żywi, niańczy i hołubi.

Argumentacja tych wrogów niewoli po niewczasie, jakby wyjęta z katechizmu bynajmniej nie katolickiego ale... marksowskiego, wygląda mniej więcej następująco: niewola była zjawiskiem powszechnem, określającem wszystkie przejawy życia i determinującem je zasadniczo w sposób ujemny. Jak jest więc możliwe, by z czegoś, co było niewątpliwem i powszechnem złem, urodzić się mogło coś nietkniętego pierworodnym grzechem niewoli, kształtującej życie polskie nietylko już mechanicznie, ale niejako chemicznie, gdyż wnikającej w sam skład wewnętrzny polskiego istnienia? Nie — powiadają — wszystko jest i być musiało skażone niewolą, największe ofiary i najglębsze natchnienia, wszystko! Dopiero wolni Polacy w wolnej Polsce stworzą wolną myśl i wolny czyn, niezatrute miazmatami niewoli i moralnością niewolników.

Zdaje się jednak, że ci apostołowie wolnej polskości długo czekać będą nim się urodzi ów „wolny Polak“, będący najnowszym mitem polskiej niefrasobliwości. Bo gdzież to i kiedy, na jakiej ziemi i w jakich czasach, urodził się wolny człowiek? Gdzież to i kiedy istniała taka istota ludzka, któraby nie czuła straszliwego ucisku przeznaczenia, któraby każdej chwili nie była otoczona wojskami ciemności, któraby nie wiedziała, że niewola w najróżnorodniejszych postaciach czyha na nią dziś i jutro i pojutrze i tak po koniec dni? Nie widziała takiego wolnego człowieka ziemia, po której błądził ośleply Edyp. Nie widział go kraj świętych, z którego ruszyły narody na obronę bożego grobu. Nie dojrzeć go u żadnego ludu, przez który działy się gesta Dei. I biada narodowi, wśród którego przyszedłby na świat ów wolny człowiek. U nas raz się to już zdarzyło. Przyszedł wolny od wszystkiego, od woli i od niewoli, od złego i od dobrego, popuszczający pasa, nieczujący grozy istnienia, żłopiący nullum nisi hungaricum, — o! nieskażony, niezdeprawowany żadną przemocą, d'le sobiepan wolny! I wiemy, czem się to jego królestwo skończyło. Ten zaś nowy mit nowoczesnego wolnego Polaka trzeba posadzić na tej samej beczce saskiej. Dobrze się tam będzie czuł. Pijąc wolne już i niezatrute niewolnictwem piwko, będzie ów nowopolski Zagłoba Panu Bogu składał dzięki, iż go „od męki krzyża zachował“ i że skończyła się tragedja polskiego cierpienia, mamy już tę niepodległą i — jak mówi wielki pisarz — można teraz na wczorajszej Golgocie swobodnie zacząć wielki dziejowy dancing, bo przecież odbyło się już odkupienie, zmartwychwstanie i t. d. i wolno się już nietroszczyć o jakieś tragiczne zwidzenia ludzi, znieprawionych niewolą.

I to wszystko nazywa się szumnie przezwyciężaniem przeszłości, unicestwianiem niewolnictwa albo też — ulubione to określenie — rozbijaniem romantycznych iluzyj. Niewola, to dla tych zawodowych optymistów, dla tych dusz sielankowych, tak łatwo przezwyciężających niewolę gdy jej już niema — coś w rodzaju bardzo przykrego i niebezpiecznego przypadku, o którym należy jak najprędzej zapomnieć i jak najśpieszniej przejść nad nim do porządku, to — jakby to określić językiem współczesności? — to, to „dziejowa katastrofa samochodowa“. Ale czy z tego wynika, iż nie należy jeździć automobilem? Bynajmniej, powiadają, nasi sielankowcy. A co do pamięci to wogóle trzeba być z nią ostrożnym. Zbyt dobra pamięć psuje optymistyczny obraz świata.

I nie trzeba być zaświatowym religiantem, by przyznać, jak nieporównanie głębsze i ileż realniejsze i prawdziwsze jest to — rzecby można — biblijne rozumienie niewoli, które w cierpieniach i bólach stuletnich widzi nieprzerwany ciąg doświadczeń, jakiemi Bóg historji dotknął nasz kraj, Hioba między narodami. Niewola, to była wielka szkoła tragizmu, i surowa, ale nie przebaczająca żadnej naszej słabości wychowawczyni dziejowa, to był bicz boży, pod którym znaleźliśmy się, smagani bezlitośnie, aż serca sprzedawczyków Sejmu niemego zmieniły się w serca rycerzy i męczenników, umiejących umierać w najstraszliwszej walce, bo bez nadziei zwycięstwa, a nawet chwały. I słusznie powiedział jeden z historyków, iż pod jarzmo niewoli weszliśmy trzodą ludzką, a wyszliśmy z pod niego świadomym siebie, zorganizowanym duchowo narodem. Jeśliby więc spełniła ona tę tylko przemianę, wartoby ją zachować w naszej pamięci i nie wypierać się jej tak, jak Grecy nie wypierali się wspomnień wojen perskich, albo jak Niemcy nie wypierali się najgorszych upokorzeń z czasów napoleońskich, chociaż z każdem z tych rozstrzygających zdarzeń historycznych łączą się długie sznury przeżyć bolesnych, dręczących i co gorsza wstydliwych. Nie poto ręka Boga przeprowadza ludzi i narody przez bramy piekielne, aby bramy te wydały się złym snem, którego jak najprędzej zapomnieć należy. Piekło widuje się po to, by o niem pamiętać. I nam trzeba usilnie i wytrwale *pamiętać* o naszej niewoli, a z okropnej jej studni wydobywać musimy raz wraz żywą wodę tragicznego męstwa, która jest u samego dna wszystkiego, co mianujemy czasem naszego upadku.

I dziś, gdy tamtą epokę obejmujemy już z pewnej perspektywy, widzimy, iż z wszystkiego, co się na przeszło wiekowej przestrzeni tego okresu zdarzyło, nic nie może się równać z tym faktem, iż pod ruinami naszego istnienia bić poczęło na nowo to źródło żywe, które zda się wyschło było za lat, może wieków poprzednich, a z którego sprawą zieleni się dziś to, co jest nową rzeczywistością polską.

Choć to brzmi niesamowicie, ale tak jest: niewola przywróciła nas prawdziwemu życiu, a jedyną gwarancją naszej przyszłości nie jest to, co się tylu rzeczywistościowcom dziś gwarancją wydaje — jakże to pisał Norwid „policje tajne, widne i dwupłciowe“ — ale to, co z natchnień wielkiego owych czasów tragizmu zbudowane zostało i obudzone w sercach Polaków.

Jeżeli ktoś powie, że się tu głosi pochwałę niewoli, to odpowiedzieć należy, iż prawdziwymi chwalcami i... kontynuatorami niewoli są ci, którzy radziby dziś wytracić wszystko, co walczyło i tworzyło w strasznym jej cieniu, od Mickiewicza po Piłsudskiego. Zresztą — kto głosi pochwałę miecza, temu chodzi o sprawę, która się przez miecz dokonywa. Tak samo niewola: to było dziejowe narzędzie naszego odkupienia. Czas spojrzeć na nią zaprawdę inaczej, niż dotychczas; czas ujrzeć w niej surową szkołę wysokiego tragizmu, a nie jedynie przeszkodę w wolnem wylegiwaniu się na — mówiąc słowami współczesnego pisarza — rodzimym śmietniku. Dlatego te „antyniewolowe“ krucjaty ostatnich czasów wyglądają więcej niż podejrzanie, bo tak się to jakoś wydaje, jakby ci spóźnieni błędni rycerze wolności przeczyli nie tyle niewoli ile owej postawie duchowej, która wypracowana została w ów straszny czas narodowej nocy, a której najpełniejszym wyrazem jest romantyzm polski, pojęty nietylko jako kierunek literacki, ale jako formacja kulturalna.

Istotą tej postawy moralnej, zazwyczaj nie zwalczanej wręcz, ale umiejętnie usuwanej w cień, dowcipnie przestawianej i dyskredytowanej, jest tragiczny stosunek do świata, czego wynikiem jest poczucie, rzecby można, absolutnej odpowiedzialności za wszelką rzeczywistość. Łączy się to bardzo ściśle z pewnymi poznawczymi teorematami owej epoki, teorematami, które niejednokrotnie poddawane były bardzo ostrej krytyce i niewątpliwie utrzymać się dziś nie dadzą, które jednak nie posiadają tak dużej wagi, by mogły wstrząsnąć etyczną i moralną prawdą tej postawy. Przeciwnie, jeśli nawet na przecięciu perspektyw romantyzmu i idealizmu leży może nawet beznadziejny solipsyzm a samotna dusza ludzka zawieszona zostaje w całkowitej pustce, to owo oderwanie od wszelkiej pozapsychicznej rzeczywistości jest tylko umocnieniem wiary w bezgraniczną odpowiedzialność za wszelkie istnienie. W takiem ujęciu świat jest tworem ludzkiej myśli: na nieodpowiedzialność nie może więc być tu miejsca. Jeśli pod to moralne stanowisko romantyka, które da się sformułować krótko w ten sposób: „odpowiedzialnym jestem tylko ja“ podkłada się niejako interpretację społeczną i głosami krytyków romantyzmu mówi się, iż ten solipsyzm etyczny jest wynikiem oderwania i bezsilności wobec rzeczywistości, co nawet w pewnym sensie odpowiadać może prawdzie, to wolno sylogizm ten odwrócić i zapytać czy nasze współczesne „opanowywanie“ rzeczywistości nie odbywa się przypadkowo na koszt naszego poczucia odpowiedzialności.

Jest wiele znaków na ziemi i na niebie, znaków nieraz ledwie dostrzegalnych, któreby zdawałyby się mówić, iż ten odwrotny proces odbywa się w całej pełni i maluczko, a przyjdzie chwila, gdy do *moralnej* wyżyny podniesiony zostanie aksjomat: odpowiedzialność nie istnieje. Zanadto rozkochały się nasze czasy w t. zw. „objektywnym“ świecie i zamało zdają sobie one z tego sprawę, że jeśli istnieje coś takiego, to jest to prawda nie z tego świata, mistyczna i nad ludzki rozum. Za wiele dokonało się w tym względzie przemian, by nasze *dziś* nie upatrywało już tam nowoczesnego Don Kiszota, gdzie jest tylko człowiek, pragnący być odpowiedzialnym twórcą rzeczywistości. Przypomnijmy sobie zresztą historyczne tło Don Kiszota: powstał on wtedy, gdy wszystkich rycerzy złożono już do grobu a światłem zawładnęli ich bastardzi: zbóje — konkwistadorzy. Czy coś podobnego nie dzieje się za naszych dni? Czy i my jesteśmy na jakiejś linji ewolucyjnej ,od moralności Piłsudskich i Dąbrowskich do — sit venia verbo — moralności Kortezów i Pizarrów? Wszystko zdaje się wskazywać na to, że grozi nam moralne zwiotczenie, sprawy tej natury zeszły wogóle jakby na plan drugi, a konfrontacja t. zw. imponderabilów z t. zw. rzeczywistością doprowadza zawsze do ustępstw na rzecz tej drugiej, do przystosowania się, do cichej kapitulacji.

I by osłonić ów odwrót, wydobywa się argument niewoli. Ci z tragicznej epoki naszych dziejów — powiada się — nie władali realnością, władać nią nie mogli, tworzyli stanowiska wzniosłe, wspaniałe ale zawieszone w próżni .Nasze pokolenie, — mówi się z uśmiechem skromności — nie ma pretensji do wieszczenia, latać nie umie, ale tę przyziemną doczesność zna i wie jak nią kierować. Zapomina się o jednem tylko: o hierarchji. Gdyby nie było życia, któremu na imię Adam Mickiewicz, albo tego, które zwie się Norwid, albo też tego, który wciąż jeszcze odkupuje nas wszystkich, a nazywa się Józef Piłsudski, nie byłoby tych wszystkich małych ale suwerennych realności, tych wszystkich urzędów podatkowych, pocztowych, komunalnych, ba, ambasad i poselstw, z których każde i każda zna lepiej prawdę świata od tych, co to „zdeprawowani niewolą“ z nicości wydobywali świadome istnienie całego narodu. Raz wraz stajemy na tych rozdrożach i raz wraz rozstrzygać musimy, którą iść drogą: śladami Konrada czy też pochyłą choć szeroką drogą wegetacji. I tylko głębokie poczucie istotnej realności może nas przeprowadzić cało wśród niebezpieczeństw tej decyzji. Bo prawdziwa wiedza spraw i rzeczy świata podszepnie nam z pewnością, iż niema tu wyboru, a tylko ci, którzy znają pozaziemski punkt archimedesów, mocni są poruszyć z posad ziemię, i tylko do nierzeczywistych należy rzeczywistość.

JAN ST. BYSTROŃ

# SPÓR O KULTURĘ LUDOWĄ

Kultura ludowa! Częsty to dzisiaj temat, o którym dużo się mówi i pisze; temat, który wylania dużo zagadnień, a przedewszystkiem, który jest dla ogromnej większości osób zabarwiony uczuciowo. Z chwilą, gdy zaczyna się choćby zupełnie teoretyczna dyskusja na ten temat, widać zaraz, że jedni mówcy są emocjonalnie związani z kulturą ludową, że jest ona im bliska, droga, że widzą w niej wartości estetyczne i moralne, podczas gdy drudzy odnoszą się do niej z niechęcią, czasem zupełnie podświadomą, nieraz z lekceważeniem, w najlepszym razie z wyniosłą życzliwością. Na pierwszy plan wysuwają się zatem sądy wartościowe, oparte na uczuciowem podłożu: sądy te wypadają najrozmaiciej, zależnie od światopoglądu, sfery socjalnej, kierunku społecznego. W atmosferze tej rodzą się zarówno entuzjastyczne dytyramby na cześć kultury ludowej, jak też i niemniej ogólnikowe oceny ujemne. Tak jak przed stu laty, kiedy to pomiędzy klasykami i romantykami toczyła się zawzięta walka o wartość twórczości ludu, gdy klasycy widzieli tu tylko pomysły „w glupstwa wywarzone kuźni", a romantycy jedynie tej bezimiennej twórczości tradycyjnej skłonni byli przyznawać prawdę artystyczną, jako zgodnej z duchem narodu, — walka ta trwa i dzisiaj, w innych terminach, ale podłoże jej pozostało to samo.

Coprawda, sytuacja od stu lat o tyle uległa zmianie, że wiemy dziś nierównie więcej o tej kulturze ludowej, niż w epoce romantyzmu. Entuzjaści i apostołowie ludowi głosili wielkość tej kultury, jej wewnętrzną prawdę, jej bogactwo, spodziewali się, że stanie się ona niewyczerpaną skarbnicą prawdziwej sztuki narodowej, ale to wszystko były ich życzenia, ich nadzieje; jest rzeczą zdumiewającą, jak mało zdołali z tej skarbnicy skorzystać ci, którzy najwięcej na ten temat deklamowali. Poszukiwano tej ludowości, jak kwiatu paproci; wierzono, że gdzieś z pewnością klejnoty te muszą się znaleźć. Zaczęto więc poszukiwania.

Ogrom pracy, który włożono w poznanie kultury ludu w ostatnich stu latach, jest zdumiewający. Z początkiem ubiegłego wieku kilka zaledwie tytułów prac, poświęconych opisowi etnograficznemu wymienić można; później jest ich coraz więcej, coraz obszerniejszych, coraz bardziej systematycznych. Zaczynają się mnożyć opisy poszczególnych okolic, powstają wielkie zbiory, wydawnictwa perjodyczne. Cała bibljoteka etnograficzna, z tysiącami tytułów, informuje nas dzisiaj o kulturze ludu. Nie są to już tylko materjały opisowe: coraz więcej mamy zestawień, porównań, interpretacyj, rekonstrukcyj. Metodyczna analiza naukowa pozwala nam te rozproszone wiadomości sprawdzać, segregować, układać systematycznie i chronologicznie, i odtwarzać dzieje kultury tradycyjnej.

Badania etnograficzne wpłynęły bardzo znacznie na złagodzenie bezwzględnie ferowanych wyroków. Kultura ludowa okazała się wcale rozmaita, zróżnicowana regjonalnie, dostosowana do potrzeb grupy społecznej, której służyła: jej prymitywizm okazał się zrozumiały, celowy, pożyteczny. Dało się stwierdzić, że niektóre z treści kulturalnych mają dość odległą przeszłość; niejedne z nich sięgają zamierzchłych epok i są pozostałościami dawnej pogańskiej wiedzy, obrzędowości czy techniki. Nawet najbardziej zdecydowani klasycy musieli uznać, że jednak te formy kulturalne, które przekazywane z pokolenia w pokolenie, jedynie od pamięci i zwyczaju zależne, zdołały przetrwać wieki, są częścią tradycji narodowej i zasługują na pietyzm. Ale również i entuzjaści kultury ludowej musieli znacznie ograniczyć swe zachwyty; niejedni z nich doznali gorzkich zawodów i rozczarowań. Kultura ludowa, tak jak ją etnografowie zdołali odtworzyć, nie spełniała wygórowanych życzeń: nie była czemś jednolitem, czemś zupełnie rodzimem, płynącem z najgłębszych źródeł twórczości narodowej; w stosunku do oczekiwań okazała się nadspodziewanie uboga, jednostronna, niezdatna do tej roli, którą jej wyznaczono w przebudowie kultury narodowej w sensie jej pogłębienia i związania istotnego z duchem narodu.

Ale to obustronne osłabienie przeciwników nie mogło nikogo zadowolić. Podłoże uczuciowe sporu pozostało nadal; zwiększył się jedynie materjał dowodowy, używany zresztą w sposób bardzo dowolny, zarówno z jednej, jak i drugiej strony. Walka się znów ożywiała, pociągała szersze sfery, stawała się coraz bardziej aktualna.

Oczywiście, nie chodzi tu już o folklor: zmiany społeczne, które wpływają na aktualność sporu o kulturę ludową, otwierają zupełnie nowe horyzonty. Nadchodzi wielki kryzys społeczny, przedłużający się przez dziesięciolecie; wielu się myśli o planowem opanowaniu kryzysu, o świadomem kierowaniu procesami społecznemi, o systematycznem tworzeniu kultury nowego społeczeństwa. Na tem tle nasze zagadnienie nabiera zupełnie innych walorów.

Jakie są te zmiany?

Przedewszystkiem, sama tradycyjna kultura ludowa przechodzi poważny kryzys. Etnografowie biadają, że kultura ludowa ginie. Istotnie, oblicze kulturalne wsi ulega szybkiej zmianie; zaczyna się niwelacja kulturalna i urbanizacja, częściowo nawet i kosmopolityzacja. Dawne treści tradycyjne w jakimkolwiek zakresie tracą swą popularność: coraz mniej opowiada się baśni, coraz rzadziej śpiewa się dawne pieśni; zwyczaje i obrzędy stają się coraz częściej jedynie zabawą, do której nie przywiązuje się znaczenia; ustępują dawne sposoby techniczne, ginie strój, tak, że w niektórych okolicach nawet pamięć zaginęła o tem, jak się dawniej ubierano. Na miejsce tych tradycyjnych treści wchodzą szybko nowe, z rozmaitych źródeł pochodzące, przeszczepione pospiesznie, zewnętrznie, chaotycznie. Otóż tu rodzi się teraz pytanie o doniosłem znaczeniu praktycznem: czy należy pogodzić się z tem, uznać dawne formy za skazane na nieuchronną zagładę i co najwyżej starać się je dla celów naukowych zinwentaryzować, czy też trzeba się starać o to, aby ta dawna kultura nie ustępowała bezwzględnie nowym formom, niezawsze do potrzeb wsi dostosowanym? Czy uznać tradycyjną kulturę wsi za przeżytek przeszłości, który musi ustąpić przed nowem życiem, czy też starać się podtrzymać tę tradycję, otoczyć opieką, propagować jako trwałą wartość? Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa ani prosta; zgóry stwierdzić możemy, że nie mają racji ani ci, którzy przechodzą lekceważąco koło dobytku wielowiekowej pracy kulturalnej, jak też i entuzjaści, którzy pragnęliby życie zatrzymać w rozwoju, aby zahamować proces rozpadania się dawnej kultury tradycyjnej. Zarówno ci są w błędzie, którzy myślą, że można budować nową kulturę na zgliszczach dawnej, jak też i ci, którzy ujęci urokiem prymitywu przypuszczają, że dzisiejszej wsi może wystarczyć odwieczna tradycja, tak jak wystarczała np. za czasów pańszczyźnianych.

Zarazem wysuwa się inne zjawisko społeczne, coraz to bardziej znamienne i zdecydowanie się przejawiające: tworzenie się coraz to liczniejszego zastępu inteligencji wyszłej z ludu i tworzenie się świadomości stanowej w coraz to szerszych warstwach ludowych. Zrazu syn włościański, kończąc szkoły i obejmując kwalifikowaną sytuację zawodową w mieście, wchodził w zupełności w szeregi coraz to silniejszego liczbą i wpływami mieszczaństwa, wżywał się w nowe środowisko, rozluźniał węzły, łączące go ze wsią, często nawet i pochodzenia swego się wypierał; o tem, aby mógł on nadal ze wsią pozostawać w kontakcie kulturalnym, mowy być nie mogło, conajwyżej taki nowego chowu inteligent uważał za swój obowiązek moralny z wyżyn swej sytuacji socjalnej i intelektualnej dawać wsi pewne wskazówki, pouczenia, morały. Ale stopniowo stan ten uległ zmianie: coraz więcej dzieci włościańskich kończyło szkoły rozmaitych stopni, coraz mniejszy stawał się dystans kulturalny i społeczny pomiędzy tymi, którzy na wsi pozostawali, a tymi, którzy objęli miejskie sytuacje. Równocześnie zastępy inteligencji wiejskiego pochodzenia wzrastały liczebnie tak szybko, że asymilacja w środowisku miejskiem nie była już tak łatwa; zaczęła się więc wytwarzać warstwa inteligentów, którzy zachowali i pielęgnują tradycję wiejskiego pochodzenia, uważają się nadal za przynależnych do wsi, utrzymują stały kontakt towarzyski ze wsią i organizują współpracę, wysuwając się często na czoło organizacyj ludowych, lecz już nie jako mentorowie, lecz jako współuczestnicy ruchu, wolą innych towarzyszy wysunięci na kierownicze miejsca. Pojęcia i nastroje wsi ulegają również zmianie: wytwarza się samopoczucie społeczne wsi, a wraz z niem tendencja do wyzwolenia się z pod sugestji wpływów miejskich. Ruch ten ma zrazu wyraźnie polityczne oblicze, ale z czasem staje się także i ruchem o kulturalnych aspiracjach.

Więc tutaj znowu staje zagadnienie kultury ludowej, tym razem już w pełnej doniosłości: czem ma być ta kultura ludowa? Czy ma to być kultura zupełnie nowa, czy też może ona nawiązywać do przeszłości i jakiej? Czy musi być ona zupełnie rodzima, czy też należy oprzeć ją o wzory obce i jakie? Czy dawna, tradycyjna kultura ludowa może mieć znaczenie dla tworzenia tej nowej kultury wsi, i jakie? Odpowiedzi są znów najzupełniej sprzeczne i niemniej zupełnie naiwne, słowne, logicznie nie uzasadnione. Jedni wierzą w możność stworzenia jakiejś zupełnie nowej kultury, dostosowanej w doskonały, a bliżej niewytłómaczony sposób do potrzeb ludu, jako całości, odrzucając całą tradycję jako antykwaryzm, inni zaś właśnie w tych zabytkach pragnęliby widzieć podstawę odrodzenia, uważając, że iść należy na tej właśnie drodze i pielęgnować przeszłość, rozwijając stare formy i dostosowując je do nowych potrzeb. Wśród ideologów ruchu ludowego spotykamy zarówno niechętnych tradycji, jak też i jej entuzjastów; jedni radziby zapomnieć o całej etnografji, która im przypomina wieki pańszczyźnianego ucisku i bierności kulturalnej, inni chętnieby wskrzesili tę przeszłość, która jest im tradycją własną ciągle toczą się dyskusje, spory, walki.

Zaczyna się znów poszukiwanie cudownego kwiatu paproci: mowa wciąż o kulturze ludowej, którą ma się realizować; ta kultura ludowa istnieje jako ideał, ale niewiadomo, jak ona naprawdę wygląda. To, że kulturę tą tworzyć należy, na to powszechna zgoda u ideologów najrozmaitszych odcieni, ale jak ta kultura ma wyglądać, jak ją realizować można, o to częste toczą się dyskusje, spory, walki.

Dyskusje te pozostają zazwyczaj na niskim poziomie teoretycznym: argumentem jest tu zapał, wiara, wyobraźnia. Ciągle powraca tu pojęcie kultury jako całości, mającej byt niezależny, ciągle wydaje się sądy wartościowe, nieoparte na jasno przemyślanej podstawie. Dyskusja namiętna i werbalna nie może oczywiście dać pozytywnych wyników; a jednak zagadnienie jest bardzo ważne, a od rozstrzygnięcia go w tym czy innym sensie zależeć może w pewnym stopniu przyszłość pracy kulturalnej wśród szerokich sfer społeczeństwa.

Musimy więc dyskusję tę postawić na wyższym poziomie, musimy zagadnienie postawić jasno i poprawnie na gruncie ściśle teoretycznym. W tym kierunku winien iść nasz wysiłek w najbliższej przyszłości, dopiero w ten sposób zdobędziemy podstawę dalszego wnioskowania.

Rozważania teoretyczne nie mogą oczywiście stworzyć samej ideologji, nie mogą rozstrzygnąć zagadnienia wartości, które wykracza poza zakres nauki. Nie mogą one zastąpić programu, nie mogą dać światopoglądu, ale bez nich wszelkie próby praktyczne są nieistotne, zawieszone w powietrzu. W tym zakresie dużo jeszcze jest do zrobienia.

Dwa następne numery PIONU przyniosą m. in. artykuły:

**Leona Chwistka** — „Niewola duchowa",
**Olgierda Górki** — „Rzeczywistość i wychowanie narodu a „Ogniem i Mieczem",
**Wilama Horzycy** — „Czy romantycy śnili?",
**Juljusza Kleinera** — „Godziny języka polskiego a budowanie kultury",
**Karola Krzewskiego** — „Rozmowa z Wołodyjowskim",
**Herminji Naglerowej** — „Monstre — powieść",
**Jerzego Ostrowskiego** — „Kompleks nd",
**Leona Pomirowskiego** — „Lord Jim — Conrada",
**Stanisława Przybyszewskiego** — „Sztuka polska w polskich kościołach" (z teki pośmiertnej),
**Wincentego Rzymowskiego** — „Myśli i Uwagi",
**Władysława Skoczylasa** — „Drzeworyt ludowy",
**Bogdana Suchodolskiego** — „Oskarżenie techniki"
oraz prozę artystyczną: **Zofji Nałkowskiej i Wacława Sieroszewskiego.**

GUSTAW MORCINEK

# INKLUZ

FRAGMENT Z POWIEŚCI P. T. „ONDRASZEK"

Andrzej Szebesta, dziedziczny wójt z Janowic, przeliczył jeszcze raz wszystkie wrąbki na leszczynowym kiju. Zgadzało się. Dwadzieścia pięć było przekreślonych poprzecznem wcięciem, dwudziesty szósty przekreśli dzisiaj wieczorem. Bo chyba się nie omylił? A nowi wybrańcy chyba także dzisiaj jeszcze nadejdą?

Odłożył kij i zapatrzył się w doliny.

Były przegrodzone jabłonkowską przełęczą i poprzeczną linją szańców. Wały szańcowe spadały zygzakiem ze szczytu Girowej, rozpętliły się w przełęczy w kanciastą gwiazdę i znowu jęły się mozolić na przeciwległy Połom. Przez gwiazdę szańcową wlokła się szara droga, staczając się cienistemi wądołcami w obie doliny: na słowacką stronę i na cieszyńską stronę.

Nad światem dygotał zszarzały skwar parnego słońca.

Lasy były ciche i ciemne. Znużone ptaki pokryły się w ich wilgotnym cieniu, w spalonych trawach zaś wrzeszczały pasikoniki.

Szebestowi ludzie spoczywali jak tamte znużone ptaki. Przylegli cienie pod faszynami i w rowach. W czarnych, sękatych palcach drobili ciemny chleb, podnosili z rozwagą do ust i miesili go ciężko kościstemi żuchwami. Przepocone, ciemne, na plecach rozwarte koszule odsłaniały chude grzbiety i wystające łopatki, a w nozdrza bił od nich cierpki, kwaskowaty swąd potu i starego sera owczego.

Nieco wyżej leżeli pod krzakami istebniańscy górale. Suche, posępne ich twarze podobne były do twarzy drewnianych świątków przydrożnych, wystruganych pobożnym kozikiem. Długie, czarne włosy, szczodrze masłem maszczone, lśniły w słońcu jak końskie włosie. Ciemne koszule ich, wygotowane kiedyś we wrzącem sadle owczem, parowały odorem zjełczałego tłuszczu. Z pod nastroszonych brwi patrzyły spokojne oczy zbójnickie.

Koło szańcowej gwiazdy stoją żołnierze z opawskiego regimentu Schönhofa. Wczoraj pod wieczór przyszli od Frydku, głodni i źli. Za furgonem ich szarpał się skrwawiony buhaj, skłuty szabliskami, przytroczony łańcuchem do tylnej rozwory. Żołnierze przywlekli go pod szaniec, zabili, rozpalili ognisko, a cieple, świeżą krwią pachnące mięso długo w noc piekli na rożnach, a potem jedli, krzyczeli i pili wódkę. Moldrzyka z Jabłonkowa, co za swoim buhajem przybieżał i z lamentem dopominał się zapłaty, zbili bykowcami i precz odegnali. Rano zaś rozpoczęła się ciężoba dla Szebestowych ludzi i górali. Pogłębiali stare rowy, kopali nowe, wzmacniali faszynami, a żołnierze stali na wałach w czerwonych i szarych kabatach, w opiętych spodniach i białych sukiennych pończochach, krzyczeli, do pośpiechu napędzali, a co popędliwsi — szablami płazowali lub bykowcami śmigali po zgiętych grzbietach. Kapitan Morrison siedział zaś przed wartownią, skrobał się gęsiem piórem pod peruką i ślepił wyłupiastemi, blademi oczyma w plan reduty na pergaminie misternie kreślony.

Teraz żołnierze stoją na wałach, wsparci niedbale na muszkietach, ocierają raz wraz pot cieknący z pod peruk, prażą się w słońcu i patrzą w dolinę słowacką. Kapitan Morrison leży rozwalony na polowym tapczanie pod namiotem i stęka przez sen.

Andrzej Szebesta widzi go przez odchylone skrzydło namiotu. Peruka jego bieli się wełnianą kopicą na stole, na żółtawym pergaminie rysowanym w poplątane znaki.

Ludzie patrzą na śpiącego kapitana Morrisona i wzdychają, żeby długo spał. Jak długo bowiem śpi — odpoczywać mogą. Gdy się zbudzi, znów będzie przeklinał po szkocku i drucianą szpicrutą smagał odniechcenia.

Andrzej Szebesta spogląda w dolinę cieszyńską. Spojrzeniem wiedzie ostrożnie po dalekiej drodze, myszkuje, podgląda, a kiedy drobniuchny kształt ludzki natrafi, przymruża szare oczy i patrzy pilniej, czy to nie przodownik cieszyńskich wybrańców.




Władysław Skoczylas — Zbójnik śląski Ondraszek

Nikogo nie widać. Ani przodownika, ani jego wybrańców.

Mysiemi ząbkami gryzie trwoga Szebestowe serce. W domu w Janowicach został mały synek Ondraszek. Czy też tam jemu krzywda jaka się nie stała? Czy z płotu nie spadł?... Czy, Boże broń! w rzece się nie utopił lub hrabiowski pies nie pogryzł?... Dorota strzeże pilnie synka, baczy na każdy krok jego, ale synek żywszy od rąk matki. Umknie jej z pod wystraszonych palców i ucieknie w pole. A kiedy już w polu, na wolności — nie łacno go schwytać. Przygarnięty potem do piersi krzyczy, kopie i kąsa, na drogę się rzuca, w pyle tarza, kamieniami ciska i złorzeczy zabawnie.

Westchnął Szebesta radośliwie, że z Ondraszka taki zacny synek, odważny, podarzony!...

Powrócił do słodkich majaków.

W wapienniku pod Frydkiem błogosławi światu cudowna figura Panienki Marji na drewnianym słupie. Słup jest malowany na różowo, omotany zeschłemi wieńcami, a Panienka Maryja trzyma Jezuska na rączku, patrzy się przed siebie i uśmiecha nieznacznie. Nie widziała Andrzeja Szebestę, kiedy przyszedł znękany do cudownej figury i wadził się w przewielkiej udręce z Panienką Maryją, próżno domagając się od Niej politowania i łaski, należnej wójtowi dziedzicznemu z Janowic. Kilka lat chadzał do Niej, świece woskowe palił pod słupem, najpiękniejsze róże, kradzione z zamkowego ogrodu, sypał Jej pod stopy, o nic więcej nie prosząc, jak o dziecko, jedno jedyne, osłodę w przyszłem życiu ojcowem i dziedzica fortuny i godności wójtowskiej. Frydecka Panienka Maryja nie wysłuchała skamlań ojcowych.

Zachmurzył się Andrzej Szebesta, zacisnął usta, szare oczy spopielały w zawziętości.

Na rozstajnych drogach, gdzie samotna lipa stoi, w trzecią noc po nowiu zakreślił koło ludzkim piszczelem i tajemne zaklęcia powiedział, których nauczył się od owczarza Kozuba z Goduli. I stał się dziw nad dziwy. Przyszedł zły duch w ciemnym wichrze, a puhacze zawodziły jękliwie, a ognista kula pękła nad lipą z łoskotem. Oślepione oczy nie widzą tamtej bestji, serce tylko czuje obecność jej, bo kurczy się w przerażeniu.

— Czego chcesz Andrzeju Szebesto, dziedziczny wójcie z Janowic? — skrzeczy czyjś zardzewiały głos z mroków.

— Syna!... Syna chcę!...

— Bydziesz mioł syna!... Bydziesz!...

Wrócił do domu opętany radością i legł z ufnością w łożnicę małżeńską. I w tę noc poczęło się życie synka w łonie żony Doroty.

— ...i synek przyszedł na świat! — rzekł teraz głośno do siebie i roześmiał się.

— Co mówicie, wójciczku? — zapytał garbaty Kołaczek z Janowic.

— Eh, nic!... — rzekł i znowu się roześmiał.

Przewalił się znienacka daleki grzmot. Podniosły się wszystkie głowy, zwróciły w słowacką dolinę.

— Chryste!... Turcy strzelają!... — wychynął czyjś przerażony szept.

— ...kierysi słowacki zomek bombardują!...

— Wczoraj też bombardowali!...

Wyroili się ludzie z pod faszyn i z rowów, stanęli na wale. Serca dygocą. Wytrzeszczone oczy widzą niską, skłębioną powałę chmur, co czarnym szlakiem zaciąga słowackie niebo. Czy to burza na niebie, czy to Turcy strzelający?... Nic inszego jak Turcy!... Z moździerzy biją w słowackie zamki!... Maryjo święta!...

Przypomniały się wszystkim słowa wielebnego pana, księdza Foldyna we Frydku, prawione w święto Matki Bożej Gromnicznej:

— Turkowie szpetni, złorzeczone pogany, pomiot djabelski, zawzięte wrogi krzyża Chrystusowego ruszyli ze swych leży i teraz wielką hordą idą na kraje chrześcijańskie!... Koniec świata obiecują, śmierć haniebną wszelkiemu chrześcijańskiemu stworzeniu niosą, rumowiska i gruzy z kościołów naszych uczynią!... Dzieci i starców mordują, męże w niewolę wiodą okrutną, dziewice i żony gwałcą i na rozpustę w dalekie miasta swoje pędzą, na wieczne potępienie i hańbę doczesną!... Módlcie się bracia w Chrystusie, i wy panowie stateczni, i wy prostaczkowie nabożni, żeby wszechmogący Bóg wejrzał na nas biednych i Swoją prawicą cały świat chrześcijański odgrodził od tamtej zagłady tureckiej!... Módlcie się, o drodzy, w każdej godzinie, a zwłaszcza w onej godzinie, gdy dzwony wołać was będą!... Czy w polu będziesz czy w domu, na groniu czy w dolinie, w komorze czy w komnacie, w więzieniu czy na swobodzie, gdy usłyszysz dzwonów wołanie, padnij, o bracie, na kolana i błagaj Boga twego o miłosierdzie nad sobą i nad twemi dziatkami!...

Długo tak kazał wielebny pan, ksiądz Foldyn na ambonie w frydeckim kościele, a słowa jego leciały na ludzi trwogą przeogromną, a zarazem i wiarę z sobą niosące. Od południa, z poza Słowaczyzny, nadbiegały wieści okropne o idącym wrogu, co wszystko w perzynę zamienia, drogę trupami pobitego narodu mości szczodrze, krew chrześcijańską toczy strugami. Trawa nie rośnie, kędy on przejdzie, ziemia wysycha na kamień, woda w gnojówkę smrodliwą przemienia się za nim, ptaki w locie zdychają, prócz tych czarnych kruków, co ogromnemi stadami lecą przed nim, a za nim wlecze się mór i czarna zaraza. O Chryste Panie!...

Graf Opersdorf, dziedziczny pan frydeckiego państwa i namiestnik królewski ziemi śląskiej, wybrańców swoich wysłał na szańce jabłonkowskie, by drogę grodzili Turkowi pospólnie z wybrańcami państwa cieszyńskiego, skoczowskiego, bielskiego. Andrzej Szebesta przywiódł janowickich wybrańców, żeby utrudzonych poprzedników zluzować, a teraz już od dwudziestupięciu dni kopią nowe wały, umacniają stare rowy faszynami, strzelnice sporządzają, drzewa wycinają i w zasieki kładą srogie, wilcze doły grzebią i pacierze szepcą. Pomagali wybrańcy skoczowscy, pomagają koloniści niemieccy z państwa bielskiego, hajducy cieszyńscy i górale beskidzcy. Szańce rosną w oczach, przemieniają w fortecę, szczerzą wylotami mo-

ździerzy w dolinę słowacką, skąd wróg ma nadejść, a w ludzkich sercach rośnie przeświadczenie, że strzyma się tutaj horda piekielników tureckich, nie przejdzie w dolinę cieszyńską...

A kiedy o godzinie czwartej rozdzwonią się jabłonkowskie dzwony, klękają wszyscy pospólnie z hajdukami i bezbożnymi żołnierzami z cudzoziemskich regimentów cesarskich i modlą żarliwie, jak przykazał patent najjaśniejszego cesarza rakuskiego Leopolda z piątku po świętym Jakubie.

Zagrała trąbka z wielkiego szańca.

— Ko... kopać!... — przeleciało wołanie oficjera i żołnierzy.

Zeszli ludzie posłusznie w rowy, rozdzwoniły się rydle i kilofy. Kapitan Morrison wyszedł przed namiot, przytknął lunetę do oka i długo patrzał w kierunku słowackiej Czaczy. Potem poprawił perukę na głowie, przywołał oficjera i wsparty na nim jął się szmatłać po wałach z drucianą szpicrutą.

Spiekota wzrastała, niebo powlekało się srebrną polewą, a słońce prażyło coraz mocniej. Ludzie dyszeli ciężko, ocierali pot z oczu, stękali, łapali powietrze otwartemi ustami, a nad nimi świstały bykowce i leciały klątwy żołnierskie.

Grzmot zaś, idący od Słowaczyzny, gęstniał i potężniał.

Wszyscy już teraz wiedzieli, że to nie Turcy strzelają, lecz burza nadchodzi.

Andrzej Szebesta patrzał w tamtą dolinę. Niezadługo wicher nadleci, a z wichrem pioruny i ulewa. Skryje się z ludźmi pod faszyny. Czy też jego Ondraszek skryje się przed burzą pod pierzynę?... Żeby też piorun nie trzasnął do domu!... Jezusie święty!...

Chmury rosły, pęczniały, sunęły czarną ławą, a w ich jądrze kołtunił się wicher, szumiał i ciskał błyskawicami. Na ziemi przywarowała cisza. Dwa byki, przywiązane łańcuchami do lipy, bodły ziemię i ryczały, ludzie zaś stękali w rowach i żegnali się za każdą błyskawicą.

Chwile mijały.

Znienacka, w jakiejś nieoczekiwanej chwili zwalił się w dolinę rozpalony wicher. Spadł kamieniem z obłoków, wybił z drogi szare tumany pyłu, wyniósł je wysoko, skoczył w uciszone lasy, rozorał gwałtownie ,do ziemi przygiął, że drzewa zastękały boleśnie, a na doliny wylał się z nich ogromny szum jak wzburzona woda. Potem znów nastała cisza. Wierzchołki sosen dygotały tylko nieznacznie, a nad ziemią ważył się niepojęty lęk i trwoga.

I wtedy doleciało wszystkich dalekie wołanie dzwonów jabłonkowskich.

— W Jabłonkowie zwonią!... W Jabłonkowie zwonią!...

Wychodzili z rowów chłopi i górale, utytłani gliną i zmęczeni, klękali na wałach, zdejmowali kłobuki, żegnali się szerokiemi krzyżami i zaczynali pacierze. Żołnierze zaś zdejmowali trójkątne kapelusze z pióropuszami, zginali prawe kolana i jęli kreślić palcami małe krzyże na czole, ustach i piersi.

Wzdłóż szańców podniosły się zmierzwione głosy, potem się wyrównały i teraz już zgodnym chórem skandowały święte słowa:

— Przepuść, Panie, ludowi Twemu, a nie dej dziedzictwa Twego na gańbę, żeby nad nim Turkowie panowali!... Strzeż nas wiernych przed Turkami... Ojcze nas... ktoryżeś w niebie...

Dzwony dzwoniły coraz donośniej i coraz rzewniej. Czarne chmurzyska zaś doganiały już słońce, zasłaniały je mrokiem i kłębiły się w ogromnym wichrze, który ziemi jeszcze nie dosięgał. Ludzie doszli do połowy pierwszego Ojczenasza, kiedy spadł na ziemię. Jeszcze większy i jeszcze gorętszy, aniżeli poprzedni. Uderzył najpierw z chichotem w czarne lasy, przyłamał je nisko, potem stoczył się z wyciem na ludzi, i teraz już leciał bez przerwy, bił skołtunionym łbem naoślep, wzmagał się, wył i szalał. Ziemia i niebo pociemniały w tem okamgnieniu, siny mrok zatopił przestworza, opęczniałe chmury opuściły się jeszcze niżej, a z ich trzewi jęły się teraz wywalać pioruny i gęsta ulewa. Łoskot burzy wzrastał, potężniał, szumiał tysiącem wichrów, opętane błyskawice kreśliły mroki na strzępy, ślepiły oczy, przebiegały świat z jednego krańca na drugi kraniec, grzmoty zaś huczały, stokrotniały, prały w ziemię z furją, a ziemia dygotała i kurzyła się strugami deszczu i zdzieranemi liśćmi.

Przerażenie spadło na ludzi czarnemi skrzydłami. Kryli głowy w ramiona, zasłaniali je przed uderzeniami wichru i połamanych gałęzi, lecz nie ustawali w modlitwie, albowiem poprzez wycie wichru i łoskot piorunów dochodziło ich wciąż wołanie dzwonów z doliny. A równocześnie wszystkim się zdawało, że jeżeli wytrzymają i nie ulękną się — znak to będzie widomy, że modlitwa ich w niebie słyszana.

I chociaż serca truchlały, oczy ślepły od błyskawic, uszy głuchły od piorunów, usta zalewała nawałnica, a wicher ciskał gałęziami i przyginał do ziemi — trwali w swym nabożnym uporze. Mamlali święte słowa z przejęciem, rzucali je z wysiłkiem w opętaną zawieruchę, mocowali się z nią i trwali.

Wicher zaś wiercił łbem w lasach, walił jakby taranem, łamał i tratował, gził się oszalały i ryczał, sklepienie niebieskie pękało na dwoje z przeraźliwym trzaskiem, kruszyło na szczątki, spadało w czeluście świata z krzykiem, rzygało ogniem, zalewało spiętrzoną powodzią, wyważało z posad, łupało piorunami na drzazgi...

Cały świat zamieniał się teraz w ryczącą noc.

— Jezus!... — wychynął okropny krzyk, a równocześnie ziemia zadygotała, rozwalił się potworny huk, ludzie zaś padli na twarze.

Szebesta w ostatniej drobince chwili dojrzał jeszcze śmiejącego się pod dębem kapitana Morrisona, a potem tamten straszny błysk i chylący się dąb...

Stoczył się z wału i utonął w ciemnej nocy.

Kiedy się ocknął, burza przewaliła się była w cieszyńską dolinę. Ostatek piorunów ścigało ją za Jaworowym i Czantoryją, grzmoty jej dochodziły już uwiędłe i ze zgrozy wyzute, a obmyte słońce świeciło w oczy, nad Połomem jarzyła się ogromna tęcza, naokoło zaś pachniała żywica i bełkotały wezbrane potoki.

— Cóż to było ... Cóż to?... — zapytał.

— Chryste Panie!... Pieron wyrznął do dębu... Niedaleko od was... I kapitana zabił... Oto leży!...

Podniósł się Szebesta i spojrzał. Zląkł się ogromnie, gdyż dojrzał na trawie leżącego nawznak kapitana Morrisona, czarnego i spalonego po twarzy i dłoniach, w zetlałym kabacie czerwonym i w niebieskich spodniach. Oczy jego patrzą szeroko rozwarte ze stężałem przerażeniem w źrenicach. Obok leży zwalony dąb. Chłopi i żołnierze boją się zbliżyć do czarnych zwłok, a z kudłatych włosów, peruk, koszul i kabatów cieknie im woda i mlaszcze pod nogi.

Przypomniał sobie Szebesta widok tamtego szyderczego śmiechu Morrisona.

— Ponbóg go skarał!... — pomyślał z ulgą. — Bo się śmiał, kiedyśmy rzekali!...

— Wójciczku!... Wójciczku!... Pójdźcie jeny!... Cóż to może być?...

Zeszedł Szebesta do rowu pod zwalony dąb. Pod jego korzeniami siedzi garbaty Kolaczek i wciąż woła. Nachylił się Szebesta i aż się przeraził. Z pomiędzy korzeni wylania się obnażony szkielet ludzki, oblepiony gliną. Korzenie poprzerastały napoprzek klatkę piersiową, omotały żebra i ramiona, splotły szczelnie ze sobą. Czaszka stoczyła się w zagłębienie. Szczerzy się teraz do Szebesty białemi zębami i ślepi oczodołami.

Szebesta podniósł ją ostrożnie. Wtedy dolna szczęka odpadła i odsłoniła jamę ustną, pełną czarnej ziemi. Wystaje z niej jakiś krążek. Szebesta podłubał palcem i wydobył. Widzi w palcach mały pieniążek. Niewielki. Czaszka stoczyła się z dłoni, a w palcach został pieniążek. Szebesta potarł mocno, popluł, poskrobał paznokciem, oczyścił do spodni. Widzi teraz, że na pieniążku biegną w krąg jakieś tajemnicze znaki w formie cudacznych łamanych liter, a po drugiej stronie rysuje się drobny kształt ludzki.

Zrozumiał, że to moneta, którą włożono umarłemu człowiekowi w usta, kiedy go tu grzebać miano.

— To inkluz!... — szepnął wzruszony.

Garbaty Kolaczek woła coś i wskazuje na żołnierzy, niosących zwłoki kapitana. Lecz Szebesta nie słyszy. Pluje trzykrotnie na pieniążek, żegna nieznacznie i zamyka w trzęsących palcach.

— To inkluz!... — szepce — Szczęście mojemu Ondraszkowi przyniesie!... Inkluz!...

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

# ARS POETICA

*Wiersz jest zły, wiersz jest wrogi, wiersz pióra unika,*
*Od spodu świat podskórną podmywa zatoką*
*I mułem krtań zalewa, gdy z głębi muzyka*
*Przepycha się, by śpiewem zakrążyć wysoko.*

*Wiersz jest zły i fałszywym odszczeka się głosem,*
*Gdy tropisz go w podziemiach, gdy chyłkiem się cofa,*
*I rozbitym cię męczy dopóty chaosem,*
*Aż na samem dnie nocy w garść chwyci go strofa.*

*Trzymaj go, nie wypuszczaj na ciemność rozsnutą,*
*Mocno przyduś i zwal się na bestję olbrzymem;*
*Jeżeli kąsa — uderz, jak ostrą szpicrutą,*
*Przez łeb, przez głowę furji niecofniętym rymem.*

*Niech pozna cios twój szorstki i ręki twej słucha*
*I palce twe przyległe niech czuje do gardła, —*
*Ten bies ma być aniołem i mieć imię ducha*
*I nosić świat, nad którym się jasność rozwarła!*

*I szumieć ma i wiatry zasiewać twej burzy,*
*Błyskać krwawo, jak zachód, i jeszcze ogniściej!*
*Wiersz jest zły, lecz on jeden cię zna i powtórzy*
*Śmiertelną twoją miłość skrytą w nienawiści.*

JÓZEF CZECHOWICZ

# POLACY

*Więc najpierw blaski pną się po domach*
*wyżej i wyżej i gasną na rosie okien.*
*Warszawa, Wisła w układzie zodjakalnym nieomal*
*(bo widzę wodnika, pannę, ryby).*

*Wieczór niweluje zieleń i purpurę,*
*wchodzi po schodach wyżyn na niebo, krok za krokiem.*
*Otrząsa się w zenicie, zatrzymuje rdzawe obłoki.*
*Ciemno*
*jakgdyby*
*aksamitu fałdy urosły w całą górę.*

*Wieczór: codzienna, daremna*
*forma syntez.*

*Wsparci wzrokiem o rzekę, o kratowany most,*
*dajemy się ogarniać muzyce horyzontu.*
*Błyski w wodzie chodzą gwintem.*
*Gwintem spływa hałas uliczny.*
*Rozplusk mokry klaszcze dłońmi czarnemi o ponton.*

*Rejestrując zdarzenia milczmy,*
*bowiem pod świateł strażą sypią się perły uroku.*
*Pod świateł strażą błogo leją się wieczór i lato.*
*Wiatr żarliwy radośnie parska.*
*Zgingły w drzew zadymce genjusze mroku.*
*Jest tak, jakby nie grzmiała granica zamorska,*
*jakby nigdy przez falę nie stąpał skrzydlaty Tanatos.*

*Przypomnij —*
*przypomnij — przypomnij —*
*za miastem sprężona droga;*
*przestrzeń mdli na niej w okrytych pyłem stopach.*
*Rozpadały się szerokie rozłogi.*
*Zły ugór pod noc podsuwa się bezdomnie.*
*O, uwierzyć, że to ona,*
*obmyta w zimnych potopach*
*jak ranni!*

*W syntez formie, którą jest wieczór*
*utkwił po rękojeść głos.*
*Jego stal drży, jego smukłość wyrywa się z porządku rzeczy.*
*(we mnie to, czy w nas, czy za mną*
*ten gniew bez żalu?):*
*„Czyś to ty — ojczyzno — serce — los —*
*czyś to ty — słoneczna Jeruzalem?"...*

# NA OTWARCIE PIERWSZEJ SCENY TOW.

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

## OTO DRAMAT DZISIEJSZY:

Powiadają, że kino, dźwiękowiec, że to nowoczesna mechanika automatycznych widowisk odebrała teatrowi publiczność. A znów drudzy twierdzą, że to przestrzeń świata ukazana na szarym ekranie, na tym ekranie tak płaska, zarazem tak obrotna, że to ta przestrzeń rozwiała iluzję czarownego sześcianu sceny teatralnej. A jeszcze



Robespièrre
szkic St. Śliwińskiego do charakteryzacji

inni mówią, że ani jedno, ani drugie, ani trzecie, lecz poprostu sam czas dzisiejszy, czas betonowy, stalowy, czas autostrady i samolotu, radja, przedewszystkiem zaś wielkich rzesz ludzkich, zmęczonych wszelką myślą, przepłoszonych niepewnym wszędzie rządem, — że to ten czas rozburzył wizję sceniczną, odarł ją z sensu, z uroku, odebrał wiarę w doniosły gest, a słowo brzmiące wspaniale w przyciemnionej widowni teatrów pozbawił wszelkiej mocy.

Widowisko doprawdy żałosne: bo przecie tamci wszyscy, to jest ludzie teatru bronią się uporczywie. Kino? Dźwiękowiec? Czy też stalowa mechanika współczesna? Więc zaraz oni sami, ludzie teatru w swoim sześcianie złudy urządzą takie same przedstawienie, jakie prószy się codzień we wszystkich kinach świata. Odpowiedzą na przepych przepychem, zainstalują kopję wielkich drapaczów, wytkniętą linją współczesnego betonu przedzielą przestrzeń sceny, a tajemniczy blask gdzieś scenicznej wypełnią prawie takim samym hałasem, jaki się dzieje w dźwiękowcu, na ulicy, w music-hallu, czy naprzykład na rewji.

Kto pierwszy w tym wyścigu? Rzecz oczywista, że w tym wyścigu wyprzedzi zawsze mechanika wszystkie teatry świata. Poszły one wszędzie w zawody z mechaniką samoczynnego kina. Chciały też conajskorzej wygodzić publiczności współczesnej, rzekomo tak zmęczonej, pustej, wielce bezmyślnej w pożądaniu sensacji. I wszystkie dzisiaj świecą prawie pustkami.

Smutna to rzecz, gdy zważyć pracę ludzi teatru. Ileż śpiesznej roboty, ileż pilnych zabiegów, ileż chętnych wysiłków, od maszynisty, krawca, aż po wyczyn gwiazdora. Gwiazdor starannie przenika zdania tekstu, maluje się, pozuje, aby nareszcie powtórzywszy trzydzieści, czy czterdzieści, czy osiemdziesiąt razy kwestje, ruchy swej roli, stać się w wieczór premjery urojonym człowiekiem. Taki gwiazdor, trzeba o tem pamiętać, — porusza się, jakby w otoce starania wszystkich innych pomniejszych ludzi teatru, krawców, suflerów, maszynistów, tapicerów, fryzjerów, malarzy; wszyscy pracują na to, aby wytworzyć tę dziwną atmosferę wieczornego udania, w którem ma się rozegrać, — co?

Sądzę, że pod naciskiem pojętej nazbyt zdawkowo współczesności ludzie teatru zapomnieli, co to się ma rozegrać w malowanych pozorach sceny. Wystarczy zbliżyć się do maszyny teatru, by się przekonać odrazu, doświadczalnie, na jak wielkie manowce zeszła ta cała sprawa. Role, — ludzie, — wystawa, — aktualność... Z tych czterech słów skręcony wir, puszczony istny młyn. Ten młyn klekocze w pustce coraz szerszej i głuchszej.

Aktor chce roli, któraby była kluczem powodzenia, dyrektor szuka pozoru współczesności w aktualnej wystawie, ba, krytyk nawet, gdy myśli o teatrze, — przegląda i tasuje dane „powodzeniowe" jak się karty tasuje. Rola, wystawa, powodzenie, aktualność — i personalja. Ten aktor, a nie tamten, ta a nie tamta. Personalja i personalja, — jakiś pośpieszny szturm ludzki. Nieskończone telefony w tych sprawach, natomiast ani jednego telefonu w sprawie repertuaru, w sprawie sztuki samej. Personalja i personalja, a przecież, gdyby nawet pierwszymi gwiazdorami Polski razem z pierwszymi gwiazdorami świata upchać choćby najszczelniej wielką scenę teatru, to jeszcze ciągle żadne z takiego mnóstwa rzadkich wybitnych sił przedstawienie nie wyniknie, póki tych wszystkich ludzi nie sprzęgnie t w ó r c z a m y ś l.

Zakładam tutaj tezę, że w dziedzinie teatru p r z e l ę k l i ś m y s i ę myśli takiej i żeśmy o niej prawie zapomnieli. Żeśmy wzięli pozory wysiłku scenicznego za wysiłek istotny.

Co się ma grać?

Jaka ma być ta myśl, która przeniknąć winna wszystkich ludzi teatru od pierwszego gwiazdora aż do stolarza, zbijającego ramy dekoracyj. To ona, nie aktorzy i dyrektorzy, to ona ma prowadzić całą pracę. To ona musi stać się ogniskiem walki, to ona ma rozewrzeć serce tłumów, oczekujących ducha na ściemnionej widowni. To owa myśl ma cieszyć lub przerażać, to ona ma wyzwalać. Nie będzie taką myślą parodja mechaniki, czy plotka reportażu, rozwalkowana na stolnicy autorskiej w stosowną ilość odsłon. Nie będzie taką myślą sprawa łóżka, trójkątu, czworokątu.

Ta myśl właściwa, jedyna, tak potrzebna ma przecież zdziałać, by się człowiek dzisiejszy zobaczył na teatrze w przedłużeniu dramatycznej przenośni jeszcze większy, czy żałośniejszy, czy też jeszcze groźniejszy w najgłębszej sprawie swojej. A tą sprawą nie jest dziś, — jak powtarzam raz jeszcze, — łóżko ani dobrobyt, ani pieniądz, ani miłość ojcowska, synowska, macierzyńska, — lecz wszystkie sprawy powyżej wymienione, poddane jednej wielkiej: że sobie człowiek dzisiejszy, po strasznej wojnie broni, trwający dalej wśród groźnej wojny cen — rady już dać nie może z swojem życiem zbiorowem.

Życie zbiorowe winno go zaprowadzić do najwyższego szczęścia demokracji, to jest ku progom swobodnej samotności; samotności w myśleniu, samotności w użyciu, samotności w mieszkaniu i samotności w pracy. Własny dom, własna ziemia, sam dla świata, sam jeden, osobisty, — wyłączny. Tymczasem własność owa kruszy się raz za razem, tymczasem dla porządku, dla celowości dążeń skupiać się trzeba w węzły coraz ściślejsze. I oto szary człowiek współczesny dla ideału samotności staje się pionkiem, miljonową opiłką, obrównaną drobiną, ułożoną najciaśniej.

Nad szeregiem tych drobin musi się unieść władza stanowcza, przenikliwa. Ale ta władza, chociaż w jakości swojej wyższa, — to przecie znowu człowiek. Jeżeli wódz współczesny, to chyba człowiek w odczuciu swem najpowszechniejszy, którego przepełniła powszechność całej sprawy społecznej, — który stał się nareszcie „miljonem" Mickiewicza.

Oto dramat dzisiejszy, który się waży na szalach wyrzeczenia i jakże gorzkiej dumy: kierownik, stający się wszystkimi, dla ideału samotnego człowieka przepełniony, otruty niemal powszechnością. Tamci wszyscy dla ideału samotności — drobne, zrównane pionki. Okrutna jest ironja w takiem widzeniu rzeczy, lecz chyba w takiem widzeniu życia dzisiejszego mieści się jego najsroższa aktualność. Ale nie są to sprawy bicykletki warczącej na scenie, ani też reportażów scenicznych, lecz innej zgoła aktualności, która się nie wyrazi inaczej, jak tylko głęboką myślą pisarza scenicznego.

Czy ów pisarz jest dzisiaj w Polsce? Przy tem pytaniu powstaje zawsze hałas, że pisarza takiego niema, albo też gdyby był, nie starczyłoby dla niego aktorów, niema już bowiem tak wytrawnych artystów dzisiaj, którzyby zagadnienie tak wysoce odpowiedzialne udźwignąć potrafili.

Zaprawdę! Gdyby słuchać niedowiarków, — zawsze tylko w przeszłości wszystko byłoby wyborne, świetne; teraz zaś gdy my właśnie żyjemy, — akurat na psy schodzi. A w gruncie rzeczy teatr ma żyć nie pisarzem dzisiejszym, wczorajszym, zawczorajszym, lecz s p r a w ą, która w literaturze naszej, oraz świata nie jest nowa, lub pierwsza, lecz na wielu zakrętach dziejów zabiegała już drogę ludzkości. Trzeba tylko pisarzom otworzyć drzwi teatru i trzeba im ukazać k t ó r a to myśl ma się rozlegać pod stropami widowni. Trzeba tu mieć odwagę prawdy, ryzyka i decyzji.

I trzeba wierzyć w widza. Trzeba go, — że tak rzekę, — odbudować nanowo. Nie schlebiać jego gustom, lecz hodować w nim pasję wielkiego widowiska. Najistotniejsze rzeczy rozgrywają się zawsze wszędzie pomiędzy ludźmi w bezpośrednim geście i w żywem słowie istotnej namiętności. Któreż kino da żywy polot gestu, któryż dźwiękowiec odtworzy brzmienie prawdziwej namiętności?! I jaki sztafaż i które dekoracje najbogatszej wystawy zastąpią światło losu, bijące ze spotkania wymarzonych postaci na scenie?

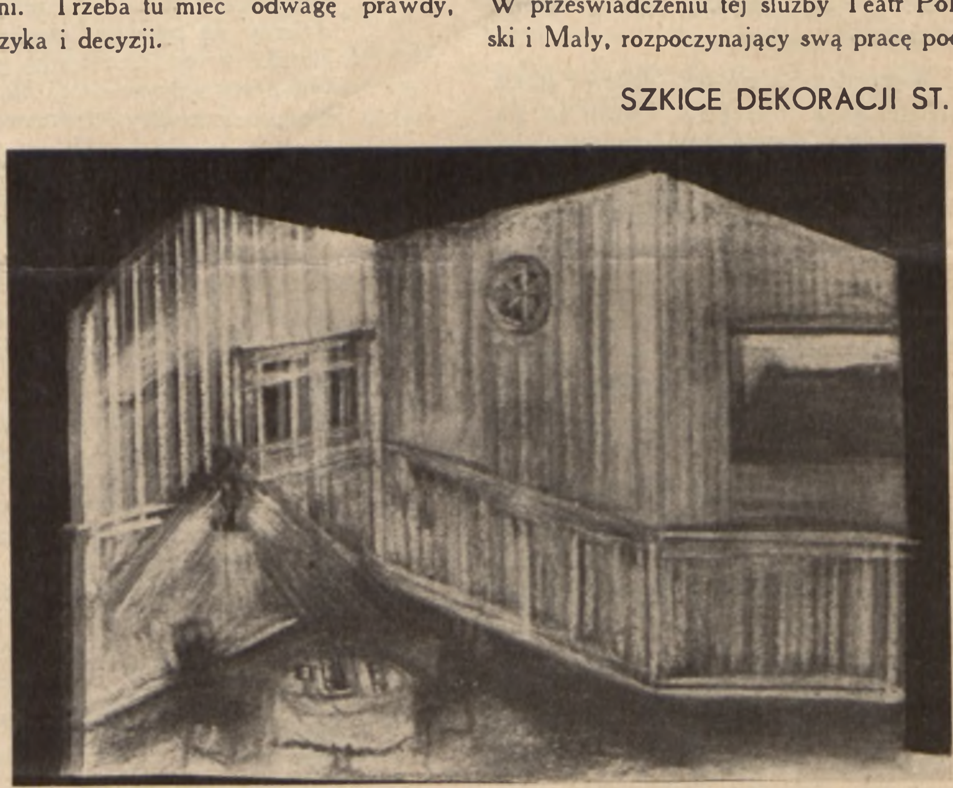
Powodowani takiemi przeslankami zbudowaliśmy nowy repertuar teatru z tych właśnie sztuk, które sprawę jednostki i masy ważą w swoim przebiegu. Straszliwe dzieje walki Robespierra z Dantonem (Przybyszewskiej Sprawa Dantona), to przecie walka wyniosłej duszy tłumu z jego opasłem ciałem. Pyskata igraszka Szekspira (Miarka za miarkę), to znów zwierciadło największym sprawom władzy i prawa przedstawione, zwierciadło niebezpieczne, w głębi którego tai się blask poezji najzdrowszem słowem wyjaśniony radośnie; Kaligula Rostworowskiego, to przecież znowu drapieżny władca rzeszy, który nie miał odwagi zniszczyć marnych narzędzi swojej potężnej władzy; Judyta Giraudoux, to zazdrosne wejrzenie na drugą stronę mitu; Lilla Weneda to znów zderzenie siły poświęcenia z siłą podboju w łonie człowieczeństwa.

Taką drogą pójdziemy, a więc w kierunku aktualności idej.

Gdy spojrzeć wtyl, widzi się najdowodniej, że to jedyna droga teatru wielkich mas, który gdy tędy idzie, zdobywa i zwycięża. Wzorów tutaj bez liku, tylko z nich czerpać, uczyć się, naśladować. Takie „aktualne" ideje kierunkowe wyłożył przecie dla całej sprawy polskiej w swoim teatrze Stanisław Wyspiański. I któż aktualniejszy był? Wyspiański, czy ci wszyscy, którzy pustym przetakiem powodzenia mierzyli dnie płynące?

Drogę tę znaczą w Polsce duchy wyjątkowe, za niemi jednak, czy wokół nich nie znać, nie widać, nie słychać wysiłku rzeszy liczniejszej. Nasza literatura dramatyczna, choć świetna, nie jest bogata. Służyć jej pragnie przedewszystkiem ten właśnie teatr, który bierze na siebie ryzyko odpowiedzialnej drogi, to jest ryzyko ukazywania prawdy w epoce, gdy ta prawda szuka jeszcze nieomal samej siebie. W przeświadczeniu tej służby Teatr Polski i Mały, rozpoczynający swą pracę pod

SZKICE DEKORACJI ST. ŚLIWIŃSKIE



Café de Foy'a

POŻYCZKA NARODOWA JEST SPRAWĄ NIETYLKO BUDŻETOWĄ I GOSPODARCZĄ. POWSZE
WYRAZ ZNALAZŁY, CZYNIĄ JĄ RÓWNIEŻ SPRAWĄ MORALNĄ I KULTURALNĄ. UDZIAŁ

# KRZEWIENIA KULTURY TEATRALNEJ

kierunkiem Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej w Polsce, zwraca się z wezwaniem gorącem do pisarzy polskich: do tych, którym oddawna bliskie już jest dramatopisarstwo i do tych, którzy dotychczas stronili od tej dziedziny twórczości.

Możemy Wam dać jaknajstaranniejszą formę zewnętrzną, gotowi jesteśmy z nakładem wszystkich sił probować i doświadczać ekspresji, jaką uznacie za potrzebną dla swej sztuki. Prowadzi nas myśl śmiała, nieściśnięta w pobieżnych izmach, lecz oddana c a ł e m u zagadnieniu epoki. Epoka ta rozgrywa dolę wielkości wśród ilości. Czy też epoka ta gra wzruszającą partję z czasem nieubłaganym o los nikłego przeciętnego człowieka. Miałożby w walce takiej, miałożby na tem rozstaju zabraknąć w Polsce głosu dramaturgów?

W wielkim narodzie jest zawsze ludzi poddostatkiem choćby nawet do najtrudniejszych zadań. Zadanie wielce trudne ma się rozwinąć w naszej pracy scenicznej. Wzywamy ludzi szczerych i śmiałych, by nam pomogli w tej ogromnej robocie.

WŁADYSŁAW ZAWISTOWSKI

## TEATR POTRZEBNY

Teatr jest najlepiej zorganizowaną gałęzią sztuki. Sieć teatralna obejmuje wszystkie większe miasta całego świata, przenika nawet do małych miasteczek i osiedli, w krajach bardziej cywilizowanych wkracza w codzienne życie wsi. Teatr stały i pół-stały, objazdowy i amatorski, państwowy i komunalny, wojskowy i szkolny, prywatny i społeczny — w przeróżnych formach i kształtach wprzęga w swój rydwan ogromne zastępy ludzi, bądź występujących czynnie na jego scenach, bądź też czynnie mu asystujących, choćby tylko jako widzowie na widowni. Że zaś prasa całego świata poświęca teatrowi niejedną szpaltę swojego drogiego miejsca, że rzadko która dziedzina życia wywołuje tyle zainteresowania, jak teatr właśnie — można z pewnością powiedzieć, że teatr jest niezmiernie żywym i ważnym terenem, na którym doznaje ekspansji twórcze życie człowieka.

A jednak w teatrze najczęściej słyszy się słowa zwątpienia, kwestjonujące sens i celowość tej sztuki. Autorzy, którzy poprzez rampę sceniczną zetknęli się z widownią, najbardziej ze wszystkich autorów odgrywają rolę cierpiętników, ludzi niedocenionych i skrzydzonych. Aktorzy, nazajutrz po premjerze, na której odnieśli wielki zasłużony triumf, gotowi są na próbie nowej sztuki przekonywać kolegów, że teatr jest nikomu niepotrzebny, że ten czy inny sukces jest raczej dziełem przypadku, niż objawem normalnym. Gdy przeniesiemy się skolei na łamy prasy, a nawet do czasopism fachowo-teatralnych, z ust krytyka lub teoretyka teatru dowiemy się napewno, że teatr przechodzi właśnie najbardziej zasadniczy kryzys, że wszystkie jego elementy społeczne i artystyczne znajdują się pod znakiem zapytania, że ratowanie go jest wysiłkiem jałowym i zbędnym, że może należałoby poszukać teatru naszej epoki, teatru o zupełnie nowych, niż dotychczasowe, założeniach, ale że poszukiwania takie są trudne i nie rokują wielkich nadziej.

Teatr jest wielką organizacją artystyczną, o wspaniałej tradycji i ogromnej życiowej użyteczności — lecz ma złamane serce. Nie jest to bynajmniej figura retoryczna ani symbol z rekwizytorni teatralnej, ale coś bardzo konkretnego, prostego i prawdziwego. Teatr ma złamane serce — to znaczy to tylko tyle, że działa bez przekonania co do wartości swego czynu. Radosny, twórczy skurcz serca człowieczego napełnia wszystkie tkanki gorącym i wartkim obiegiem krwi. Napina cały organizm na cięciwie woli życia, usprawnia wszystkie komórki, wypełnia je pragnieniem. Pragnieniem tem jest życie, wola trwania, odczuwania, przemian, zwycięstw.

Teatr współczesny niema wiary, że jest teatrem potrzebnym. Jego serce jest złamane, straciło dogmat swego istnienia, dogmat będący poza wszelką dyskusją.

Teatr stracił wolę życia. Lecz jakie ma do tego powody? On, spadkobierca wielkich skarbów ludzkości, dziedzic sztuki wspaniałej i świętej, w której ludzkość zamknęła najistotniejsze przemyślenia swoje nad tajemnicą istnienia; ogarnięty czarem postępu nietylko technicznego, ale i swego rzemiosła, które wyzyskało wszystkie inne sztuki — malarstwo, architekturę i muzykę dla własnej świetności, aby potem cementami tej sztuki żonglować z nieprawdopodobną wprawą, tworząc rozliczne kierunki, prądy i wartości?

Równolegle do rozwoju sztuki teatralnej i do wzrostu społecznej pozycji jej twórców, obserwujemy spadek społecznego samopoczucia ludzi teatru. Że nie nazywają się kapłanami sztuki, to odpowiada naszemu smakowi i właściwemu poczuciu miary. Ale że w wewnętrznej zależności od kaprysu tłumów posuwają się tak daleko, że żyją w nieustannym niepokoju o dobry humor widowni, że wyrafinowaniem swych nerwów wcielają się w jego psychikę i stwarzają sobie uosobienie wiecznie niezadowolonego odbiorcy, którego wymagania wybiegają poza to wszystko, czego mu można dostarczyć; że starają się dogodzić najdrobniejszym zachceniom tłumu, jakichby nigdy ten tłum nie umiał sobie nawet uświadomić — to działa nietylko demoralizująco w stosunku do widowni, którą snobuje się wbrew jej woli i wbrew nawet duchowym możliwościom, ale przedewszystkiem rujnuje się własną strukturę psychiczną, niszczy się własne poczucie wolności tworzenia, bez której niczem więcej, jak błaznem cyrkowym, być niepodobna.

Baczny obserwator wewnętrznego życia teatru, jego kulis fizycznych i duchowych, jakże wiele może wyłowić dowodów, stwierdzających to załamanie wewnętrzne ludzi teatru. Ludzie ci są nietylko Hamletami własnej sztuki, nietylko uosobieniem sceptycyzmu — mają oni nieustannie przed oczyma duszy obraz widowni, której zdobyć niepodobna, choć w rzeczywistości ta widownia jest w każdej chwili do zdobycia, jeśli tylko walczącym i zdobywającym starczy ognia i siły. Ile to gorzkich słów słyszy się od ludzi teatru o widzu inteligentnym, który jest zimny jak marmur w teatrze i którego żadnym darem twórczości niepodobna przekupić. Ile to razy słyszy się o wyższości widza prostego, nieskomplikowanego, którego stać na radość i na bezpośredni stosunek do sztuki. A przecież niema ludzi bardziej trudnych do zdobycia, jak właśnie ludzie teatru. Zainteresować aktora prawdziwie wielką sztuką, przekonać go o sugestywności takiej sztuki, postawić go oko w oko z Szekspirem czy Wyspiańskim nie poprzez rolę tylko, ale bezpośrednio — to jedno z najtrudniejszych zadań, jakie są do spełnienia w teatrze. Słynne „marmury" nie mają, wbrew pozorom, swej głównej siedziby na widowni — ich domem jest scena, jest sala prób, jest pokój reżyserski teatru.

A „ideowość" teatru? To słowo, którego zrozumieć niepodobna, poza teatrem, a która w teatrze odgrywa tak wielką rolę? Uparte, mściwe i pełne złości sprowadzanie każdego organizmu teatralnego do poziomu sklepiku, rzadko przychodzi na myśl człowiekowi z widowni. Czyni to zawsze rasowy człowiek teatru, który codzień żąda od tego warsztatu, aby otoczony był nimbem nadziemskiej niemal bezinteresowności, i który codzień stwierdza, że właśnie jego warsztat jest zwykłą spekulacją na sztuce, na twórcach i na idealach; a przecież to on właśnie wytwarza najczęściej atmosferę handlu, przetargów i osobistych koncesyj. Przygnębiający sceptycyzm w stosunku do widza, bezwzględność żądań, jakie człowiek teatru stawia widowni, którą chciałby widzieć rozmodloną jednym tanim grymasem swej sztuki, łączy się w teatrze z przykrym cynizmem wojującego egoizmu.

Ludzie teatru są ludźmi trudnego współżycia. Ale raczej przypominają złe dzieci, niż złych ludzi dorosłych. Ich ponury światopogląd nie jest wynikiem zdobytych prawd, lecz autosugestji i psychozy. Trzeba tylko utrafić na moment właściwy, trzeba znaleźć jedno szczęśliwe wyrażenie, aby stopniały uprzedzenia i zawiści, aby nagle, jak w czarodziejskiej bajce, jak na teatralnej scenie, zapaliło się słońce wiary i nadziei. Klimat teatralny nie jest najzmienniejszym z klimatów — ale nawroty, które w nim następują, częstokroć bardziej są gwałtowne, niż na pełnym oceanie. Nie należy wierzyć ludziom teatru gdy mówią, że tylko wśród oklasków mogą być szczęśliwi i twórczy — rozwijają się i wzrastają raczej w atmosferze życzliwej rzeczowości, choć może o tem nawet nie wiedzą i nigdy na to nie przystaną.



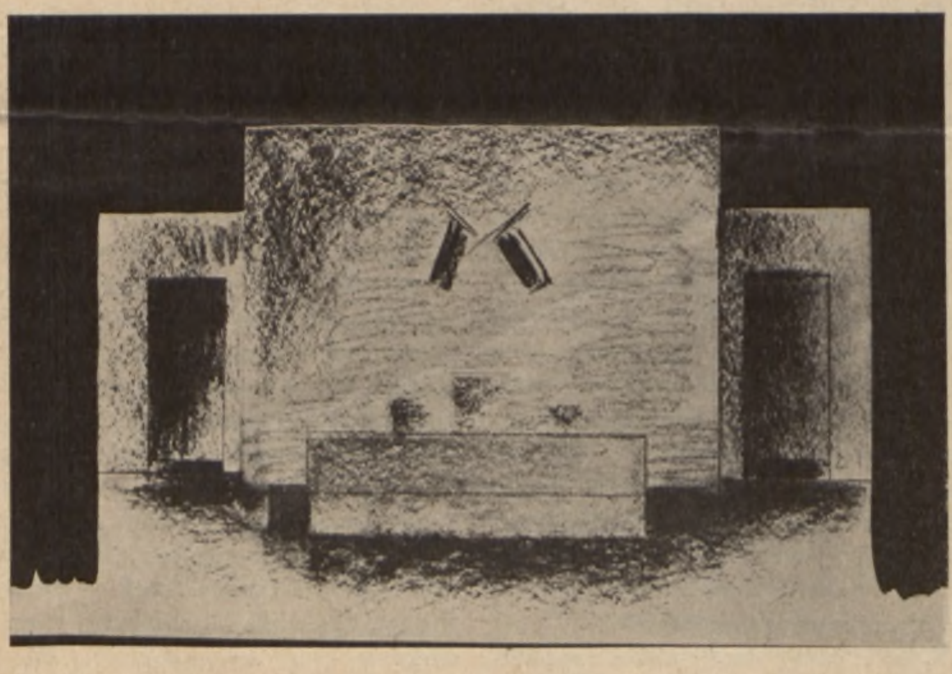
Danton
szkic St. Śliwińskiego do charakteryzacji

Teatr dobry, teatr prawdziwej sztuki, społecznych założeń i narodowej godności jest teatrem koniecznie potrzebnym. Potrzeba jego jest tak wielka, że ponad jakąkolwiek dyskusją, teorją czy wątpliwością, teatr zawsze wywalczy sobie warunki do istnienia. Dom, w którym mieszka Szekspir i Moljer, Mickiewicz i Fredro, Słowacki i Wyspiański, nie może nadługo być zamknięty. Lada powiew wiatru, że już nie uderzenie burzy, otwiera drzwi, zabite z największą troskliwością. Ale otwarcie nanowo drzwi potrzebnego teatru nie rozwiązuje jeszcze tego zagadnienia. Trzeba, aby ten teatr tak bardzo wbił się w pychę swej świetności, tak gorąco uwierzył w swe czysto życiowe posłannictwo, tak szczerze utwierdził się w swej użyteczności, aby promieniować mógł nietylko jako poziom artystyczny i jako poziom społeczny, ale przedewszystkiem jako kuźnia entuzjazmu, jako zbiornik energji. Właściwa atmosfera w teatrze wytwarza właściwą atmosferę wokół teatru — do teatru, który wie, że jest potrzebny, chodzić będą ludzie, którzy przywykli nie marnować swego czasu.

Teatr potrzebny! Był nim zawsze Teatr Polski w ciągu dwudziestu lat swego dotychczasowego istnienia, i będzie nim nadal, jako teatr wielkiej ambicji i wysokiego poziomu. Jeśli jednak pozwoli przejrzeć się w zwierciadle swej sztuki naszej epoce, jeśli pokaże nam nietylko polskich Hamletów i Tartufów, nietylko Konradów i Kordjanów, ale i polskich Robespierre'ów i Dantonów — to stanie się nietylko teatrem codziennej potrzeby dla naszej kultury, ale nadewszystko — teatrem prawdziwym.

Będzie bowiem teatrem naszej historycznej samowiedzy, jej sprawdzianem i najpełniejszym wyrazem.

ŃSKIEGO DO „SPRAWY DANTONA"



Komitet Ocalenia Publicznego

ZECHNOŚĆ JEJ I WYSOKIE NAPIĘCIE WYSIŁKU CAŁEGO SPOŁECZEŃSTWA, JAKIE W NIEJ
AŁ W SUBSKRYPCJI STAŁ SIĘ DZIŚ PROBIERZEM POZIOMU KULTURALNEGO OBYWATELA.

STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKA

# POCZĘCIE UMYSŁOWE



Stanisława Przybyszewska

Trzy lata temu Wiadomości Literackie ogłosiły dwa artykuły, zawierające — w kondensacji mężobójczej — socjo- i psychologiczną analizę Sprawy Dantona. Wiem, że nikt prócz jakich trzech (no, może jednak pięciu) osób o heroicznej wytrwałości nie czytał ich; mimo to nie mogę się powtarzać, więc tym razem byłam w kłopocie — aż mi jedna z najciekawszych krytyk lwowskich, przypadkowo wspomniana, podsunęła temat.

Prof. Władysław Kozicki, po uderzająco wiernem i trafnem streszczeniu pierwszej części owego wstępu, rozpoczyna analizę samej kroniki — określając temat jako „*wybrany* celem *ilustracji* takiego światopoglądu". Mówiąc o dwu protagonistach, rozważa cechy ich charakteru; przypuszcza, że dobierałam te cechy tak, aby zachować równowagę między dobremi i złemi. Wreszcie sądzi, jak wszyscy recenzenci ówcześni, że stoję po stronie Robespierra a Dantonem gardzę.

Te trzy zdania zawierają cztery pomyłki. — Nie w ten sposób powstaje utwór u pisarza mojego typu; wątpię nawet, czy utwór żywy wogóle może tak powstać. Przerażająca martwość nowicjatu, pokory i subordynacji. Przedmiotu nie wybiera się; temat i wszystkie momenty jego realizacji są nam narzucone. Nawet chwili nie można wyznaczyć samemu: przedwczesność i opóźnienie wykonania mszczą się oboje. — Dramat nie może być ilustracją dla już sformułowanej tezy; wizja *poprzedza* swą filozoficzną interpretację, podczas której dopiero sam autor dowiaduje się, dlaczego własny jego utwór ma taką a nie inną treść! — Postaci nie układa się, niby lamigłówki, przez dobór i zestawienie kilku cech. Geneza osób przedstawia się zgoła inaczej.

W pewnej chwili (z której trzeba umieć skorzystać) ekran, czy też lustro wyobraźni zaczyna się lśnić; wzywa ku sobie uwagę. Wówczas człowiek powinien zapomnieć, że żyje; zatracić siebie, *stać się* bezosobową pamięcią. Na ekran wstępują postaci: odrazu całe, zwykle niespodziewane. O rozporządzaniu ich wolą ani losem mowy niema. Po pewnym czasie zaczynają się poruszać, przesuwają się poprzez środowiska i sytuacje, reagują na nie; czują, myślą, działają. A pisarz, uwolniony od własnego Ja, rozprasza się i mnoży jak kula rtęci. Jest równocześnie widownią, widzem, i każdą osobą filmu: gdyż z *każdą* trzeba się utożsamić. Broń Boże pozwalać sobie wtedy na odruchy serca! Na sympatję będzie czasu dosyć po ukończeniu dzieła — nie wcześniej. Z oburzenia natomiast — tej najpotężniejszej zapewne rozkoszy psychicznej, jaką znamy — trzeba zrezygnować doszczętnie.

Gdyż wszelkie osobiste uczucie, mącąc przejrzystość bezosobowej kontemplacji, wyrządza spustoszenia. Sympatja i antypatja mają ciekawy wpływ: gdy się „stanie po czyjejś stronie", lub przeciwnie, — prawidłowo płaskie zwierciadło wyobraźni zamienia się we wklęsłe. Postać wybrana zajmuje jego środek, wypaczona i jaskrawa; wszystkie inne układają się w groteskowy wieniec niewyraźnych maleńkich sylwetek dokoła niej jednej. A zaślepiony uczuciem autor nie zdaje sobie zwykle sprawy, że odbicie stało się karykaturą.

Rozumowa lub moralna ocena ma równie katastrofalne skutki. Jeżeli autor ośmieli się wydać sąd o istocie, której postępowanie powinien tylko współ-przeżywać i regestrować, — bieg filmu przystaje. Postać obserwowana martwieje. Wówczas trzeba ją chyba popychać i ciągnąć, sztywną jak polano, przemocą *własnych* pomysłów — zabieg, o którym jakość rezultatu wymownie potem świadczy. Gdyż aby ją przywrócić życiu — trzeba osiągnąć z powrotem wzniosły stan duszy, określany przez angielskich psychologów jako... moral idiocy.

Nie odczuwałam nic dla osób Sprawy podczas jej powstania: *byłam* niemi. Lecz dziś mogę sobie pozwolić na osobisty stosunek. Ale dziś nawet nie „stoję po stronie" niczyjej. O sympatji nie decydują cechy dobre, lecz stopień *siły* osobowości; kierunek tej siły (+), czy (—), jest obojętny. To też Danton jest mi bardzo bliski — ze swem łotrowstwem, swą próżnością, swym tragizmem — mniej wysokim, a boleśniejszym od tragizmu Robespierra. Lubię go. Niechęć odczuwałabym dopiero wobec głupca (o złotem chociażby sercu) i tchórza: warunki, którym wśród ca. stu osób kroniki odpowiada sam tylko Vadier, jedna z czwartorzędnych postaci.

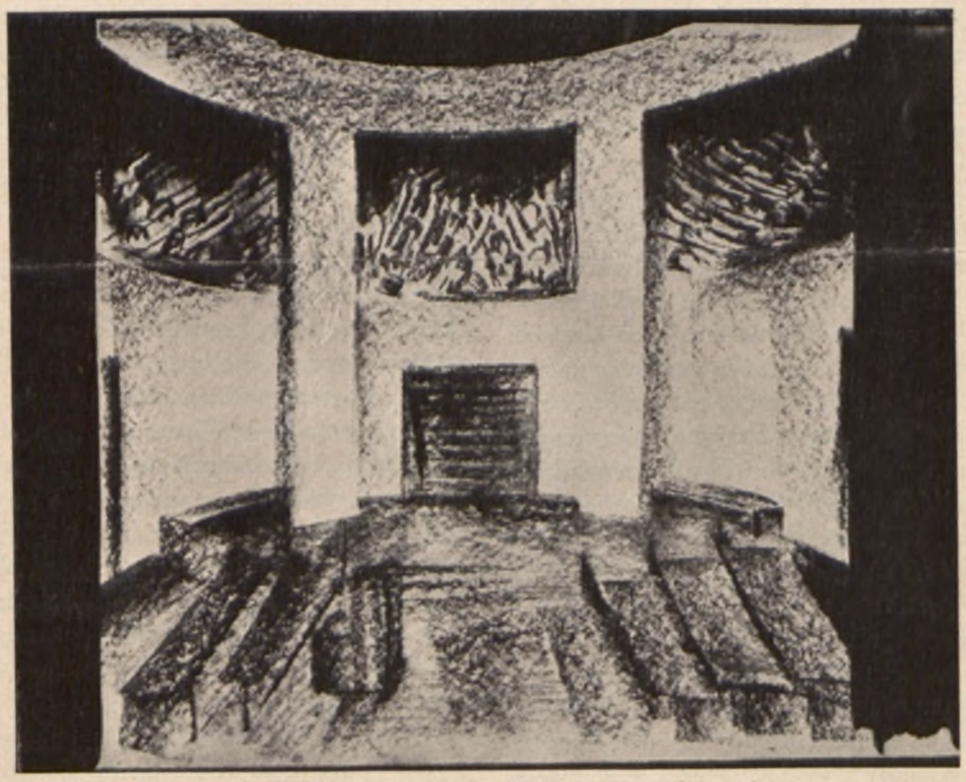
# ST. PRZYBYSZEWSKIEJ – SPRAWA DANTONA

**(Przed premjerą w Teatrze Polskim w Warszawie)**

Po Büchnerze i Romain-Rollandzie znów Danton i jego sprawa. Znów Robespierre i Komitet Bezpieczeństwa, gilotyny i sąd rewolucyjny. Że zaś autorką jest kobieta, nosząca wprawdzie sławne w literaturze polskiej nazwisko, ale nikomu prawie nieznana, prawie debjutantka, więc może niekończąca się perspektywa zamiłowań historycznych, jakichś nowych dokumentów, jakiejś monografji uczonej, albo poprostu kostjumów z panopticum, białych peruk i straszliwej teatralnej grozy.

Stanisława Przybyszewska nie przypadkiem jednak nosi nazwisko autora „Mocnego człowieka". Nikt nie wyczuje z jej dramatu ani zamiłowań młodej studentki z historycznego seminarjum, ani tembardziej tęsknoty za atmosferą z Grand-Guignolu. Jak u prawdziwego dramaturga, punktem wyjścia w jej dramacie jest problemat, problemat narodzony dzisiaj, nabrzmiały żywotnością naszej epoki, bliski naszym codziennym przemyśleniom. Historja (zresztą wystudjowana bardzo dokładnie) dostarczyła tylko kanwy i tła, na którem zagadnienie zostało rozwiązane. Bohaterowie francuskiej rewolucji nie zeszli na scenę dzięki przypadkowi, jako wynik zamiłowania do epoki — wybrani z pośród tysięcy historycznych bohaterów przez świadomą swych celów pisarkę, posłużyli jej za medjum, które pozwoliło na sceniczną materjalizację samego zagadnienia.

SZKIC DEKORACYJNY ST. ŚLIWIŃSKIEGO DO „SPRAWY DANTONA"



Trybunał rewolucji

Chodzi o zagadnienie władzy, o jej źródła, o jej charakter. Nie o tę pompę zewnętrzną, która każdej władzy towarzyszy, ale o istotne jej znamiona, o jej sens wewnętrzny. Że zaś zagadnienie władzy przenika nasze życie bardzo głęboko, że dotyka pojęcia wolności osobistej człowieka, jej przeróżnych ograniczeń, a wskutek tego tych wszystkich wartości, na rzecz których czyni się te ograniczenia, przeto „Sprawa Dantona" mówi nietylko o wybitnych jednostkach, którzy historję tworzą, ale i o zwykłym człowieku, który w tej historji uczestniczy, który staje się jej treścią prawdziwą.

Danton w dramacie Przybyszewskiej jest emanacją tłumu. Jest genjalnym demagogiem i trybunem ludu, jest uwodzicielem mas, ich pochlebcą i kochankiem. Musi potężne mieć bary, jest bowiem rozpętaną siłą fizyczną, która rządzi jego umysłem, która każe mu żyć jak zwierzę, namiętnie, silnie, w nieprzytomnem zwarciu z przyrodą.

Robespierre, jego przeciwieństwo, to czysty i samotny rozum człowieka, który stoi ponad szczęściem i ponad osobistą pasją. Ciało jego musi być słabe — zgnębione bowiem zostało przez ascetyzm ducha, który jest samą wolą, samą prawdą. Tłum się go boi tylko i nienawidzi go — czuje w nim bowiem tę wyższość zupełną, która go czyni obcym dla wszystkich.

Obaj ci ludzie stanęli wobec zagadnienia władzy nad jednym z najpiękniejszych narodów świata, w przedziwnej chwili jego historji. Obu im dana była ta władza, obaj korzystali z niej, aby zetrzeć się z sobą wreszcie, aby rozegrać decydującą walkę, która ich pokolei zniszczyła.

W prawdziwie świetnej scenie swego dramatu zestawia raz jeden tylko Przybyszewska te dwie indywidualności: Dantona, który chce rządzić ludem, wmawiając w niego, że jest tylko jego narzędziem — i Robespierre'a, który narzucić chce ludowi swą wolę, przekonany o wyższości, bezinteresowności swych pobudek. Danton, który na drugi dzień po osobistem zwycięstwie obdaruje lud najpełniejszą wolnością, aby się tarzał w kilkodniowej rozkoszy i strawił się w swej nędzy, zanim nadejdzie nieuchronna klęska — i Robespierre'a, który zwyciężywszy, najcięższe ludowi narzuci obowiązki, ale go poprowadzi ku jego prawdziwej przyszłości. Bo Danton — to marzenie tłumu o sytym i leniwym dniu cielesnego szczęścia, a Robespierre — to surowa świadomość okrutnych praw życia, które każdy krok w przyszłość każe opłacać najcięższemi ofiarami osobistemi i zbiorowemi.

Historja przyznała zwycięstwo Dantonowi, który legł pod gilotyną, aby śmiercią swą wydać na śmierć Robespierre'a. Rzecz jednak wysoce znamienna, że w polskim dramacie uwydatnia się przedewszystkiem ten moment dramatyczny, w którym wola, rozum i czystość Robespierre'a triumfuje nad zakłamaniem Dantona.

Po raz pierwszy w literaturze świata jawi się na scenie pozytywny Robespierre jako zwycięsca rozumu i woli — nad żywiołem. Człowieka — nad bestją w człowieku.

*W. Z.*

J. E. SKIWSKI

# JESZCZE PROJEKT NA POLSKĘ

Autorem projektu jest p. J. N. Miller, który wydał książkę p. t. „Na gruzach Grenady" *), będącą dalszym ciągiem „Zarazy w Grenadzie".

W pierwszym rozdziale znajdujemy filozoficzne uzasadnienie stanowiska autora. Tej części książki warto poświęcić nieco uwagi.

Pan Miller na wstępie streszcza zasady pragmatyzmu, przyjmując je za swoje. To co pisze o pragmatyzmie wygląda na popularny referat, zaznajamiający czytelnika z podstawowemi tezami tego filozoficznego kierunku. Autor przyjmuje pragmatyzm bezkrytycznie; żadnych objekcyj nie wysuwa.

W ten sposób p. Miller wiąże losy swych własnych tez i rozważań z losem pragmatyzmu. Gdyby założenia pragmatyzmu okazały się fałszywe, tem samem odpadnie filozoficzna podstawa poglądów p. Millera.

Przedewszystkiem pragmatyzm nie jest stanowiskiem nowem. Nie chodzi mi naturalnie o jakiś snobizm nowości, ale o to, że nie sposób przyjmować bezkrytycznie, jak to czyni p. Miller, jakiejś doktryny filozoficznej, nie licząc się z jej stanowiskiem w dzisiejszym świecie i z zarzutami, które ją spotkały. To przedewszystkiem. Ale niebezpieczeństwo związania się z pragmatyzmem ma szczególnie dla p. Millera, głosiciela filozofji pracy, inne i głębsze znaczenie.

Posłuchajmy autora, a spostrzeżemy łatwo, na czem to niebezpieczeństwo polega. „Różnica między uniwersalistyczną a romantyczną postawą wobec rzeczywistości polegałaby na tem, że romantyk te wszystkie pojęcia ogólne (jak naród, Bóg, dusza) ujmuje absolutnie, oddaje im kult boski, my zaś pozwalamy je wprząc do działania, przymierzyć do doświadczenia. Są one dla nas hipotezami roboczemi, które poganiamy po wybojach rzeczywistości, jak dychawiczne szkapy, nie żałując bicza, skąpiąc natomiast obroku. Gdy zużyją swe siły robocze — zapewnia p. Miller swym „mocnym" językiem — zaczną kuleć, postawać, oddajemy czyścicielowi, by je obłupił ze skóry i sprzedał na buty". (Str. 17).

Otóż, trzeba tu p. Millerowi przypomnieć jedną prostą obserwację: świętości, o których wiemy, że mogą się jutro, gdy spełnią służbę, znaleźć na śmietniku, nie dadzą się ani rusz „wprząc do działania". Aby coś zdziałały, muszą być brane w znaczeniu absolutnem. Czy p. Miller wyobraża sobie, aby mogła mieć jakiekolwiek znaczenie życiowe modlitwa do Boga, którego gotowiśmy już dziś, modląc się, odesłać jutro do rupieciarni? Albo czy wyobraża sobie, aby wszystkie zdobycze techniczne i ekonomiczne komunizmu sowieckiego — dla którego autor żywi tyle uznania — mogły być osiągnięte, gdyby komuniści uważali teoretyczne podstawy marksо-leninizmu jedynie za „hipotezy robocze", które jutro mogą pójść do kosza?

Najsłabszą stroną pragmatyzmu jest właśnie ta cyniczna eksploatacja świata myśli i idej, przypominająca tak bardzo eksploatację pracy przez rekinów kapitalizmu. Jeśli o jakiej filozofji można ze słusznością powiedzieć, że jest nawskroś „burżuazyjna", to właśnie o pragmatyzmie. Jeśli jaka filozofja nie okazuje zrozumienia dla potrzeb myśli i uczucia ludzkiego — to właśnie pragmatyzm. Jest to filozofja filutów, wygów, którzy „skapowali" jak w trawie piszczy. Jeśli pragmatyzm wiąże się z kulturą pracy, to tylko ze stanowiska poganiacza, który wie, jak dopingować znużone mięśnie. Pragmatyzm jest stanowiskiem obserwatora pracy, a nie pracownika czynnego. Obserwatora, który zwraca uwagę na wydajność, notuje zależności, zasadę mając „gdzieś"; — jest mu niepotrzebna.

Typowemi pragmatystami byli i są nasi narodowi demokraci, zwłaszcza jeśli chodzi o ich stosunek do katolicyzmu. I tu ukazuje się słaba strona pragmatyzmu właśnie jako filozofji praktycznej. Bo, jak wiemy, endecja stale się „sypie" na swym katolicyzmie.

Jest to jej najsłabszy punkt. Patrząc na religję, jako na „siłę pomocniczą", przeoczają jej istotę, nie mają dostępu do jej wewnętrznego życia. Są ciągle niepewni siebie, a ponieważ nie uchwycili jej zasady wewnętrznej, więc wciąż strzelają gaffy.

Dla sceptyka jest to wyznanie tragiczne, — ale człowiek chce takiej filozofji, która zakłada możliwość osiągnięcia prawdy absolutnej, która odkryte prawdy uważa za kawałki absolutu, i która wierzy bodaj w nieskończone przybliżanie się do prawdy bezwzględnej. Czy taka filozofja jest możliwa i gdzie jej szukać — to są pytania, które muszę tu zostawić bez odpowiedzi. Ale jakkolwiek jest, gdyby nawet uznać niemożliwość takiej filozofji i pogrążyć się w beznadziejnym sceptycyzmie, to i tę ostateczność uważałbym za mniej urągającą godności ludzkiej i mimo wszystko za płodniejszą życiowo, niż pragmatyzm z jego nonszalanckiem zlekceważeniem odwiecznego zagadnienia prawdy. Zwolennikom pragmatyzmu trzeba również przypomnieć, że koncepcja prawdy jako „hipotezy roboczej" powstała w pracowni przyrodniczej; przeniesienie tej koncepcji na teren humanistyczny jest arbitralne. Chemik, przyjmując jakąś hipotezę dorywczo jako wyjaśniającą pewne zjawiska, zdobywa sobie tylko „wolną rękę", wyzwala się od zawadzających mu w danej chwili suggestyj. Humanista, z konieczności eschatolog, nie ma tej swobody. Dla niego zagadnienie prawdy i fałszu, bezwzględność tych pojęć jest kwestją życia i śmierci. To prawda, pragmatyzm jest doktryną bardzo giętką, niejako otwartą, dopuszczającą daleko idące modyfikacje. Ta giętkość tkwi w naturze doktryny. Zawsze więc jest możliwa taka ewolucja pragmatyzmu, przy której uroszczenia absolutyzmu, o których mówiłem, znalazłyby jakieś zadośćuczynienie. Ale p. Miller nie robi żadnych prób w tym kierunku. Owszem, jak świadczy zacytowane wyżej zdanie, autora pociągają właśnie najbrutalniejsze i najnaiwniejsze ekstrawagancje pragmatyzmu.

W związku z filozoficznemi założeniami książki, jeden jeszcze punkt zwraca uwagę. Mianowicie, sam termin „uniwersalizmu". Autor łączy swe stanowisko z pluralizmem, pojętym à la James. Uniwersalizm ma polegać na pewnym postulacie giętkości, przenikania wszędzie, zarezerwowania sobie zgóry prawa do coraz dalszego i głębszego opanowywania myślą i czynem różnych dziedzin rzeczywistości, która nie jest ani pewna, ani skończona. Ale czyż nie słuszniej było w takim razie zostać przy pluralizmie, zamiast wprowadzać termin z wyraźną suggestją monistyczną, której nie zatraca nawet w życiu potocznem.

Nowa książka p. Millera rozwija myśli, zawarte w „Zarazie w Grenadzie". Jest to dalszy ciąg walki z kulturą szlachecką i torowanie drogi kulturze proletarjackiej. Trzeba z satysfakcją stwierdzić ogólną poprawę poziomu argumentacji. Książka jest — naogół — dojrzalsza. Mimo to nie wznosi się p. Miller ponad dość łatwy eklektyzm, okraszony wątpliwej autentyczności „temperamentem". Małostkowość widzenia prześladuje go również, choć surowizny są znacznie złagodzone.

Trafne nieraz refleksje przeplatają się z gazetkowym frazesem. Tak np. na str. 22 pisze p. Miller: „Całe ubóstwo i stęchlizna naszej kultury wypływa z tego zmonopolizowania narzędzi władzy przez pasożytniczą warstwę narodu, którą stać było tylko (!) na wytworzenie poezji użycia i zużycia". Nie powstydziłby się takiej „syntezy" życia szlacheckiego żaden pismak komunistyczny. Z takiem uogólnieniem nie godzi się polemizować. Jeśli je tu przytaczam, to dlatego, aby zilustrować nierówność poziomu poszczególnych miejsc i rozdziałów tej książki, gdyż p. Miller potrafi nieco dalej mówić o tem samem poważniej i sensowniej. Kulturę szlachecką autor potraktował zupełnie jednolicie, zapominając o tem, że jest to pojęcie wieloznaczne. Było kilka kultur szlacheckich, a demokratyzm szlachecki nie jest rzeczą zupełnie bezpłodną społecznie nawet dzisiaj, jako czynnik — mutatis mutandis — normujący stosunki już nie szlachty i nieszlachty, ale ludzi różnych poziomów społecznych i kulturalnych. Mówienie stale o kulturze szlacheckiej, jako o kulturze użycia, zbytu i wyzysku jest naiwnością, dopuszczalną od biedy w broszurze agitacyjnej, ale rażącą w poważnem studjum. Tak samo jak były ogromne odchylenia w skali zamożności warstwy szlacheckiej, tak samo rozmaita była etyka poszczególnych warstw. Sprowadzanie tych różnic tylko do „pięciu się" zazdrości i próżności byłoby uproszczeniem, którego wolałbym nie przypisywać p. Millerowi. W łonie dawnej szlachty (przynajmniej okresowo) można było odróżnić dzisiejszą burżuazję, arystokrację, inteligencję, przeważnie urzędniczą, i rolników, mających zdecydowaną kulturę pracy. Nad całą tą społecznością ciążyła pewna sugestja dostojeństwa, która zrodziła niemało pokraczności, ale bądź co bądź przesączała się w naród coraz głębiej dzięki płynności granic między poszczególnemi warstwami szlacheckiemi, a później, w miarę demokratyzacji całego narodu, była czynnikiem spajającym. Takiej przełęczy nie miał chyba demokratyzm żadnego innego narodu i powinni o tem pamiętać zwłaszcza ci, którzy pomstowanie na kulturę szlachecką uprawiają zawodowo.

Pan Miller może to wziąć za próbę obrony szlachetczyzny w duchu konserwatywnym. Tego rodzaju nieporozumień trudno się ustrzec. Istotną jednak moją intencją było wskazanie, że z jednej strony sama charakterystyka „kultury szlacheckiej", jako tworu jednolitego, szwankuje; z drugiej, że sugestje dawnego życia szlacheckiego nie są ani tak „nieaktualne" ani bezpłodne w dzisiejszym świecie, jak to się wydaje p. Millerowi.

Kultura pracy i poezja pracy jest pozytywną stroną programu p. Millera. Szlacheckiemu wczoraj przeciwstawia autor proletarjackie jutro. W przeprowadzeniu tych poglądów jest książka bardzo niejednolita. Trzeba tu wyróżnić kilka momentów.

Autor lubuje się w łatwych kontrastach, co wskazuje, że mimo znacznej wiedzy, jest ze składu umysłu raczej dziennikarzem, niż filozofem. Wierzy w jakąś przepaść między romantyzmem a sztuką dzisiejszą. Rozpoczyna z rozmachem. „Za dawnych dobrych czasów romantycy pocieszali się jeszcze, że walka i przemoc, pusta gra pozorów, panują tylko w społeczeństwie ludzkiem, że wszystko dobre i doskonałe wyszło z ręki Boga i że człowiek dopiero skaził i pokalał boski porządek stworzenia.

W nowszych czasach dopiero pod wpływem rozwoju nauk przyrodniczych i ta sielanka prysła".

Obrazek bardzo konwencjonalny. Męczarnie przyrody i okropność walki o byt były znane już Homerowi; dość wyjść w pole, aby się na własne oczy przekonać o walce, która wiecznie nurtuje przyrodę. „Rajskość" więc romantyków (tam gdzie przejawiała się istotnie) miała inne, głębsze źródła, niż brak informacyj przyrodniczych! Schemacik p. Millera — jeśli ma być „hipotezą roboczą" — nie spełnia swej roli. — Coprawda dalej widzimy poprawę. (Nasuwa to przypuszczenie, że książka powstała z artykułów ułożonych w porządku chronologicznym i potem nie zrekonstruowanych w całość). Naiwność pierwszych rozróżnień jest złagodzona.

Autor „Na gruzach Grenady" stoi na stanowisku materjalizmu dziejowego, jednak zmodyfikowanem, obranem z krańcowego doktrynerstwa. Może to są najmocniejsze strony książki, tam gdzie p. Miller wykazuje konieczność uwzględnienia innych, prócz ekonomicznych, czynników dla wytłumaczenia istoty sztuki i jej ewolucji. W tych uwagach coprawda też nie jest oryginalny. Są to sformułowane raz jeszcze zastrzeżenia przeciw wybujałościom materjalizmu dziejowego, uwagi które — na pewnym poziomie, w pewnych środowiskach — są już truizmami. Ale są to truizmy pożyteczne, które do szerszych mas nie przeniknęły i warto je jeszcze raz powtórzyć. Pan Miller czyni to z przekonaniem, jakby wierzył, że jest odkrywcą. Między innemi, uważam za pożyteczne wyjaśnienia, które daje w związku z kulturą proletarjacką. Godzi tu — jak zresztą ciągle — w niedorozwiniętego inteligenta polskiego, tłumacząc, że kultura proletarjacka to zupełnie co innego, niż posadzenie w dzisiejszym salonie brudnego robociarza, czytającego rynsztokową literaturę o „hrabinach" i po pijanemu kopiącego żonę. Autor jednak ani w zarysie swojej filozofji, ani w uogólnieniach na tematy życiowe nie posuwa się poza tę granicę obserwacji, której przekroczenie decyduje o oryginalności pisarza. Nie ma daru narzucenia rzeczom widzianym konturu, któryby je czynił ciekawemi i nowemi. Jest krzykliwy — nigdy wstrząsający.

Zbywa na tem p. Millerowi. Ton doradczy, który przybiera wobec rzeczywistości, te ciągłe wskazówki, dawane co chwila dziejom, poprawianie historji, operowanie słowem „powinno" z pewnością siebie komisarza policji, są irytująco naiwne. Tym językiem może przemawiać Komisarjat Rządu. To jest w porządku. Bo Komisarjat Rządu reguluje w swoich rozporzą-

*) Jan Nepomucen Miller. Na gruzach Grenady. Warszawa 1933. Rój. Str. 228 + 2 nlb.

dzeniach takie dziedziny życia, które opanowuje bezpośrednio wola. Można nakazać ludziom chodzenie po prawej stronie chodnika, dyktowanie jednak narodowi jego dróg rozwojowych może być tylko uroczą naiwnością u ludzi bardzo młodych. Ale te fochy i dąsy młodzieniaszka-awangardzisty, są tylko zabawne u dojrzałego mężczyzny. Autor nie wyczuwa barbarzyńskości swych chwytów, nie rozumie, że wpływ na pewne dziedziny życia uzyskuje się nieporównanie głębszym wysiłkiem, że to wymaga jakiegoś innego wkładu energji że zamierzenie i osiągnięcie pozostają tu w nieskończenie bardziej pogmatwanym i złożonym stosunku, że nie załatwia się tego przez proste „powinno". Uderza w książce brak zmysłu historycznego. W jednem miejscu p. Miller wytacza przeciw Polsce dzisiejszej oskarżenie, że nie wyłoniła żadnej atrakcyjnej idei dla innych narodów. Autor porównywa czasy dzisiejsze z czasami Unji Lubelskiej, tak zupełnie, jakgdyby nie było najnaturalniejszą rzeczą, że kraj jak nasz prostujący ramiona po okresie bezwładu ima się przedewszystkiem swych spraw wewnętrznych, że wysiłki jego idą w kierunku wzmacniania, organizowania i budowania całych dziedzin życia, które były zatamowane. A pod tym względem sprawy stoją u nas dobrze. Czyż mam przypominać temu czcicielowi techniki i pracy robotnika, jakie wspaniałe osiągnięcia, już dziś imponujące innym narodom, mamy do zanotowania właśnie w dziedzinie techniki? A jeśli nawet chodzi o idee socjalne, to widać w Polsce budzenie się nowego typu nacjonalizmu, nieznanego w innych krajach, różniącego się też od sztywnego nacjonalizmu endeckiego, który wyładowuje się całkowicie w obrazach i wybuchach irytacji, żyjąc suggestjami obcemi, ostatnio niemieckiemi. Ale nie mogę tego punktu rozwijać w ramach tej recenzji, choć zasługiwałby na to.

Pan Miller jest rzecznikiem sztuki proletarjackiej. Prowadzi dalej atak na romantyzm. I tu znowu wychodzi, jak szydło z worka, małostkowość widzenia. Autor wierzy święcie w jakieś przepaści między epokami, w to że jutro będzie czemś zupełnie innem, niż wczoraj. Mówi dużo o związku pomiędzy pracą robotnika a literaturą, o zależności form estetycznych do spraw ustrojowych, społecznych. Wszystko to są rzeczy bardzo ważne i słusznie się o nich pisze. Ale to okropna małostkowość tak się okopać w tych najłatwiejszych rozróżnieniach. Pan Miller tak mówi, jakgdyby sztuka stała się społeczna dopiero od dzisiaj, wierzy w aspołeczność romantyzmu. Ciągle w nim widzi „kretyńskie nastroje", ciągle kłóci się ze snobem romantyzmu, nie z Romantyzmem. Inaczej rozumiałby, że można być pogrążonym w czeluści mizantropji, być dziwakiem i samotnikiem, a jednak najgłębiej wyczuwać tętno życia. Flaubert nienawidził ludzi, uciekał od nich, pisał o nich ze straszliwą goryczą i wzgardą; w swoich powieściach dał nam właściwie galerję smutnych kretynów. A przecież dotarł do człowieka i to co w nim odkrył — jak każde głębokie odkrycie psychologiczne — było niesłychanie ważne społecznie. Ten mizantrop więcej wiedział o człowieku, niż biegający z wywieszonym ozorem po wszystkich stadjonach zelant uspołecznienia. Pan Miller ciągle pada ofiarą najbrutalniejszych schematów. Wszędzie widzi fagasów i snobów i z nimi stacza boje. To dobre w publicystyce, takie kuksańce im się należą, ale nie można na tem opierać swojego filozoficznego stosunku do epoki... To, co odkrywał w człowieku romantyzm, było dla ludzkości równie ważne jak to, co odkrywa i jeszcze odkryje kolektywizm. Skazówka przesunęła się dalej. Oto wszystko. Osamotnienie romantyka jest w oczach p. Millera synekurą snoba. W istocie twórca zawsze jest osamotniony i to osamotnienie jest dla niego źródłem boleści. Jakżeby chciał być „jak wszyscy" wtedy właśnie, gdy jest najgłębiej twórczy! Tam gdzie osamotnienie zaczyna być karjerą, tam z całą pewnością kończy się prawdziwa sztuka. Brać tę pozę ciągle na kiel, to strzelać do trocinowej lalki, z poza kiczu nie widzieć najlepszych dzieł artysty.

Precyzja nie cechuje wywodów p. Millera. W toku rozważań wypływa „klasyczna" kwestja stosunku artysty do rzemieślnika. Pan Miller raz wypowiada poglądy (str. 90), z których możnaby wnosić, że granica pomiędzy sztuką a rzemiosłem jest zasadnicza; innym razem znowu nie rozróżnia malarza pokojowego od „artysty-malarza" (str. 86).

Z tem zagadnieniem rozprawił się doskonale Chwistek, pisząc: „Jeśli szewc robi but, to ma cel określony, chodzi o to, żeby w bucie można było chodzić, żeby był przedewszystkiem wygodny, a potem dopiero zgrabny, modny i t. d. Pytam się, czy jest coś podobnego w malarstwie?".

Jabym dodał, że zachodzi jeszcze ta różnica, że artysta daje w swem dziele rezułtat swoich najważniejszych i najgłębszych przeżyć, decydujących o jego stosunku do świata, swoją filozofję, czego nie czyni rzemieślnik, idący wąską ścieżką doświadczenia, mającego określone praktyczne cele na widoku. I tu znowu poniosła autora złość na snobów, wywyższających się ponad „zwykłych" ludzi. Owszem, dobrze jest takim snobom dać po nosie, ale naiwnością jest stawiać znak równości pomiędzy sztuką i rzemiosłem dlatego, żeby zrobić na złość jakiemuś bufonowi!

Trudno nie wspomnieć o języku tej książki. W pierwszych zwłaszcza rozdziałach jest okropny, obraża nawet dobre obyczaje. Poplőczyny modernizmu, zaprawione okowitą. Dalej wzmacnia się i uspokaja (wogóle książka idzie crescendo, co trzeba zapisać na jej dobro). Wyobrażam sobie jak obce muszą być te konwulsje stylowe i „kosmiczne" przenośnie p. Millera ludziom pracy! — Okropna korekta, a raczej zupełny jej brak, bardzo utrudnia czytanie książki.

Bilans ogólny: książka elektryczna, ale napisana ze swadą, zawierająca obok naiwności niejedną pożyteczną sugestję, prowokująca do sprzeciwu (a to już coś znaczy!), co ponad wszelką wątpliwość zostało w niniejszej recenzji udowodnione.

# Od słowa do słowa

## Introdukcja

Różne istnieją modlitwy: o zdrowie, pomyślność, szczęście, o łagodną śmierć. Literat polski, o ile się modli — dołącza do tamtych jedną jeszcze, modlitwę „zawodową" — o dobrego przeciwnika. O dobrego, to nie znaczy o pobłażliwego. Owszem, o twardego, bezwzględnego, surowego. Ale zarazem o przeciwnika, który ze szpadą nie krzyżuje pałki, a zamiast tarczy nie używa wiechcia. O przeciwnika, który nie poluje na twoje poślizgnięcia, który się nie cieszy z twoich słabostek — ale uderza w to, co w tobie najsilniejsze, pobija cię skalą, rozległością widoku, szerokością perspektyw. O przeciwnika, który, jak potrzeba, umie się odsłonić, którego stać na ryzyko właśnie w grze o rzeczy najważniejsze.

Na to potrzebna jest *wielkoduszność*. I coś jeszcze: *wola widzenia*. Zaczyna się dziać źle, kiedy wielkoduszność przechodzi w zajadłość, a wola widzenia w przedrzeźnialstwo.

Stanąć w sporze po tej lub tamtej stronie — cóż prostszego? Ale — zapytuję — po czyjej stronie stanąć, kiedy spór wiodą: stęchły frazes patrjotyczny — z jarmarcznem geszefciarstwem; bigoterja — z rynsztokowym materjalizmem; świętoszkostwo — z wyuzdaniem, upudrowany estetyzm — z rozwalonem kramikarstwem?

Taka jest jedna strona medalu. I ktoś, ktoby się tylko w nią wpatrywał i nie obrócił medalu w dłoniach, musiałby się poczuć w Polsce głęboko osamotnionym. Musiałby pomyśleć, że lepsze myśli, usiłowania idą na marne, że założone bezradnie ręce i sceptyczny uśmiech są tu jedyną „godną" odpowiedzią.

Jakże łatwo pójść tą najkrótszą drogą, u której wylotu czeka nas miękki fotel rezygnacji! Poezja „cichego uśmiechu", „opuszczenia", tęsknoty za „czemś lepszem" nie jest wcale stanowiskiem „przezwyciężonem". Jej łatwe ale pewne pokusy czyhają na nas zza każdego węgła.

I trzeba już mieć za sobą trochę indywidualnej historji, trzeba już zasmakować w twardziznach doświadczenia, aby szczerze i bez przymusu wewnętrznego być wobec tych pokus zobojętniałym, by naprawdę patrzeć na nie zgóry.

To jest pierwszy obowiązek. A skoro go przyjmiemy, przyjdzie kolej na ważniejsze pytanie.

Czy skazani jesteśmy na jakieś tragiczne „trwanie mimo wszystko" w myśl raz powziętej decyzji — czy też nasze pragnienie ważnej i płodnej dyskusji w Polsce ma swoją objektywną podstawę?

I tu trzeba wypowiedzieć tę obserwację. *Istnieje rażąca dysproporcja między tem, co się w Polsce dzieje a tem, co się w Polsce pisze.* Uogólniając i świadomie przechodząc nad wyjątkami, możnaby powiedzieć, że dzieje się u nas wcale dobrze, a pisze źle. Bardzo źle.

W narodzie: wielkie natężenie czynu, samorzutny rewizjonizm w różnych dziedzinach życia; duże wysiłki twórcze w technice, uznawane i chlubnie notowane poza krajem; budzenie się do pracy twórczej nowych, młodych środowisk.

W słowie pisanem — publicystykę przedewszystkiem mam na myśli — rutyna, stęchlizna, przedrzeźnialstwo, uporczywe szukanie dziurawych łokci przeciwnika, krytyka „od dołu". Partyjka pokera, rozgrywana w kółku wygów, zawodowo zgrywających się na ideowców.

Otóż tę lukę trzeba wypełnić. *Musi być jakieś porozumienie między tem co się dzieje a tem co się pisze.* Ta dziura, która wytworzyła się przez niewidzenie rzeczy ważnych poza pozorami, jest również niebezpieczna, jak dziura w powietrzu dla lecącego płatowca. Może być w skutkach katastrofalna. A do katastrofy dopuścić nie można. To pewne.

W takiej atmosferze przychodzą do głosu ludzie „dzicy". Wolni od łatwych i wygodnych sugestyj, chcący widzieć jasno. Któż wie, może oni właśnie są najbardziej uspołecznieni?

Tyle uogólnień. Jutro dzień powszedni.

*J. E. Skiwski*

## Konkurs na „Pamiętnik Chłopa"

Instytut Gospodarstwa Społecznego, który przeprowadził przed rokiem poważną i głęboką pracę badawczą, organizując „Konkurs na pamiętnik bezrobotnego" i uzyskując dzięki niemu niezwykle wartościowy materjał dokumentowy — przystępuje obecnie do dalszej akcji podobnej: ogłasza taki sam konkurs na „Pamiętnik chłopa".

W odezwie, nacechowanej istotną znajomością życia wiejskiego, którą Instytut w tej sprawie wydał — czytamy m. in.

Instytut Gospodarstwa Społecznego powziął zamiar opracowania rzetelnego obrazu ciężkiego położenia ludności małorolnej i bezrolnej w całej Polsce. Dlatego zwraca się do was wszystkich, co stanowicie te liczne rzesze biedujących i zrozpaczonych, rozproszone wzdłuż i wszerz naszego kraju, abyście ściśle, prawdziwie i poprostu opisali jak żyjecie, jakiego wyjścia szukacie. Więc piszcie i opowiadajcie! Nie opuszczajcie żadnego szczegółu nawet najdrobniejszego ze swych biedowań, ze swoich trosk, ze swoich doświadczeń. Nie zrażajcie się, że może opowieść wasza wychodzi niekształtna, byleby tylko była rzetelna. Opowiadajcie śmiało, co według waszego sądu najbardziej wpłynęło na waszą biedę dzisiejszą, co najsilniej przyczyniło się do wzrostu waszych trosk i co wam najbardziej daje się we znaki i najciężej leży na sercu.

A więc opowiedzcie nam, w jakich warunkach przyszliście na świat, czy w rodzinie zamożniejszej czy w zupełnej biedzie, czy sami posiadacie kawałek ziemi i ile, a może nie macie ani piędzi gruntu własnego i w całej pełni jesteście bezrolni, czy ten wasz grunt odziedziczyliście po ojcach czy nabyliście sami, a jeśli odziedziczyliście to czy była wasza rodzina liczniejsza i jak ziemię podzielono pomiędzy was i rodzeństwo, jakie były spłaty i zmartwienia związane z temi spłatami.

O tych kłopotach piszcie drobiazgowo, nic nie pomijając.

Czy mieszkacie w swojej własnej chacie czy w cudzej, jakie są wasze zabudowania, ile macie i jakiego inwentarza. Czy liczna jest wasza rodzina i co wam żona wniosła do domu. Jak spędzacie czas, kiedy nie macie żadnego zajęcia zarobkowego, ani nie krzątacie się około gospodarstwa. Czy kształcicie dzieci. Czy macie jakieś udziały w stowarzyszeniach, czy możecie kupić książkę i gazety. A jeżeli macie jaką pracę zarobkową poza gospodarstwem, opowiedzcie o niej jaka to jest praca, gdzie się odbywa i ile wam daje dochodu. Opiszcie nam własne mieszkanie ze wszelkiemi urządzeniami, ilu was tam mieszka razem, jak się żywicie, jak ubieracie, czy jest jakiś podział pracy pomiędzy wami w gospodarstwie i w domu.

Sięgnijcie także pamięcią w przeszłość swoją, jaki był stan waszego warsztatu rolnego przed wojną i jaki jest obecnie, a jeżeli żyliście jedynie z zarobków, jakie były one. Jakie macie widoki na najbliższą przyszłość dla siebie i swojej rodziny.

A także nie zapomnijcie dodać, czy macie jakie zabezpieczenie na starość, czy ktoś z członków waszej rodziny uczestniczy w gospodarce parafjalnej, gminnej, powiatowej, w jakimś związku, stowarzyszeniu, kooperatywie.

Każdy z was, kto chce przyczynić się do stworzenia obrazu, jak żyje dzisiaj w Polsce chłop bez roli i chłop na niedostatecznym kawałku gruntu, niech robi taką spowiedź z życia swego, taki opis swego zmagania się z biedą i prześle do dnia 1 grudnia 1933 roku pod adresem: **Instytut Gospodarstwa Społecznego w Warszawie, Warszawa, ulica Czerwonego Krzyża 20.**

Nadesłane przez was obszerne, szczere, rzetelne opisy, pamiętniki, opowiadania o waszem własnem życiu będą wydrukowane w wydaniu zbiorowem. Najlepsza praca otrzyma 100 złotych nagrody, dwie następne — po 50 złotych, jeszcze dalsze osiem po 25 złotych.

## O polskie słuchowisko radjowe.

Radjo w Polsce jest nudne, nie szuka nowych dróg, poprzestaje na szablonie programowym — takie zarzuty i żale są na porządku dziennym. A przecież na zachodzie stało się radjo ważkim czynnikiem w życiu umysłowem narodów. Poza normalnym tokiem audycyj muzycznych, poza pewnemi koniecznościami odczytowemi, znajdują się przecież tereny, na których radjo uzyskało ogromne i oryginalne sukcesy. Temi terenami jest: reportaż i słuchowisko radjowe.

Wzorem dla naszych organizatorów programu radjowego winny być osiągnięcia chociażby stacji frankfurckiej, której słuchowiska były doniedawna prawdziwemi rewelacjami „teatru" radjowego. Bowiem przed mikrofonem i uchem słuchacza rozgrywać się mogą najfantastyczniejsze i najrealistyczniejsze dramaty świata.

Prawdziwe słuchowisko radjowe polskie jest koniecznością. Słuchowisko i reportaż, w których radjo ma niemniejsze możliwości, niż filmowa kronika dźwiękowa, przyniosą odrodzenie radja w Polsce.